Książę Karol Radziwiłł

„Panie Kochanku.“

Opowiadanie

na tle dziejów naszych ubiegłego stulecia

przez

Józefa Grajnerta.

Wydanie drugie.

POZNAŃ.
Nakładem księgarni Jarosława Leitgebra.
1914.

ROZDZIAŁ I.

Pierwsze lata księcia Karola. Służba publiczna. Ożenek. Łowy i strzelcy. Pojedynek z Rysiem. Albańczycy. Hulanki. Żarty swawolne. Straszna przygoda z Wołodkowiczem.

Za czasów panowania Augusta III, rodem Sasa, i w pierwszych latach ostatniego z królów polskich, Stanisława Poniatowskiego, taka ciemnota, gnuśność, niezgoda, opilstwo zapanowały u nas, tylu było przedajnych panów, że książę Karol Radziwiłł, mimo licznych wad i wybryków, jeszcze za jednego z lepszych uważanym być może. Żaden też z magnatów polskich nie był tak popularny w całym kraju, żaden nie odznaczał się taką gościnnością i przywiązaniem do braci szlachty, i nawzajem takiej miłości od niej nie odbierał, jak książę Karol Radziwiłł, zwany „Panie Kochanku“, że miał zwyczaj nieustannie tych słów używać. Trząsł on całą Litwą i Żmudzią, był bożyszczem szlachty tych ziem i niema drugiego takiego Polaka, o którymby tyle co o nim krążyło podań i anegdotek.

Panie Kochanku był synem księcia Michała Radziwiłła, wojewody wileńskiego, a zarazem hetmana wielkiego litewskiego, mającego zatem całą siłę wojenną na Litwie w swem ręku. Pan ten ogromne dobra swoje, tak ordynackie czyli przechodzące z ojca na syna najstarszego, jako też spadkowe po krewnych, pomnożył jeszcze pod koniec życia majątkami żółkiewskimi w dzisiejszej Galicyi, odziedziczonymi po blizkiej krewnej, księżnie Katarzynie, córce królewicza Jakóba Sobieskiego.

Aby sobie uprzytomnić ten ogrom majątków, dość jest przytoczyć nazwy niektórych miast i miasteczek, będących własnością księcia hetmana, mianowicie: Nieśwież i Ołykę, Słuck, Białą, Kojdany, Mir, Naliboki, Birże, Sławiatycze, Czarnowczyce, Smorgonie, Newel, Siebierz, Żuprany, Nowosiołki, Żółkiew, Zmigród i Podkamień. A wieleż to set wsi, a jakie to obszary lasów i puszcz należały do tych miast i hrabstw, leżących na Litwie, Wołyniu, na Rusi i w koronie czyli właściwej Polsce! Kilka było obronnych fortec, jak: w Nieświeżu, Mirze, Orlce, Białej, a zamków warownych co niemiara! Przeszło 300,000 dusz liczono w dobrach radziwiłłowskich, a dochód roczny wynosił wówczas do 1,500,000 talarów. Był więc książę hetman najbogatszym z panów w całej Rzeczypospolitej polskiej, a miał przydomek „Rybeńku", bo tego słowa, mówiąc, często używał.

Żona księcia hetmana, a matka księcia Karola Panie Kochanku, Franciszka Urszula, urodzona z książąt Wiśniowieckich, wojewodzianka podlaska, była kobietą zacną, rozumną i nauki wyższej, niż ją posiadały owczesne niewiasty. Z jej to posagiem weszły w dom radziwiłłowski miasteczka Żmigród i Podkamień z licznemi włościami, a wkrótce miały przyjść i inne majątki, gdyż ród Wiśniowieckich wygasał.

Z sześciorga dziatek, gdy zacna hetmanowa rozstała się z tym światem, pozostały tylko przy życiu córki Teofila i Katarzyna oraz syn jedynak, młody Karol, którego nad miarę kochała. — Katarzynę wydał wkrótce za mąż pan hetman za Stanisława Rzewuskiego, chorążego litewskiego; Teofila, jako panna, przeżyła ojca.

Książę Karol ujrzał świat Boży 27 lutego roku 1734 w Nieświeżu, *) a gdy bracia jego młodo pomarli, spadła nań nadzieja dziedziczenia ojcowskich zaszczytów

*) Nieśwież należał wówczas do województwa nowogrodzkiego.

i ogromnych dóbr radziwiłłowskich, które z kilku źródeł zlały się na linię nieświeską.

W pierwszych latach młodziuchny hetmanowicz pobierał nauki u domowych nauczycieli, że jednak bardzo był pieszczonym przez matkę, leniwie brał się do książki. I tak poszło, że książątko dobrze już umiało kłóć się z paziami w palcaty, to jest w kije niby szable, konika oklep dosiadywać i z fuzyjki jajka w powietrzu rozstrzeliwać, lecz w istocie niewiele jeszcze umiał. Sam on w późniejszym wieku mawiał do swych przyjaciół:

— Tak to ja, panie kochanku, jeszcze sylabizować nie umiałem, kiedy mnie smarkacza pan Wojciech Strawiński uczył nożem do celu trafiać tak, że potem w zakład rzucaliśmy nożami. On z czasem został poważnym prawnikiem, rejentem, a ja sobie, panie kochanku, błazenek.

O tem, jak niechętnie zrazu brał się do książki, jest taka opowieść. Książę hetman, miarkując, że synowi przecie coś więcej trzeba umieć, aby mógł kiedyś piastować dostojeństwa przodków, oświadczył, że dwoma folwarkami dziedzicznymi obdarzy tego, co go nauczy czytać i pisać.

Podjął się tego światły szlachcic pan Piszczało, Litwin. Wyniosło go to na majętnego obywatela, a później na urząd honorowy podstolego rzeszyckiego. On to księcia hetmanowicza i dwóch jeszcze jemu dla zachęty oddanych chłopców, synów obywatelskich, Michasia Wołodkowicza i Michasia Rejtana, miał wyuczyć czytać, pisać i pierwiastkowych nauk bez żadnego przymusu, owszem bawiąc ich przytem, a to tym sposobem:

Na wielkiej tablicy drewnianej było abecadło kredą napisane. Każdy z uczniów stał o kroków kilkanaście od tablicy z nabitą strzelbą w ręku i trafiał w litery, wymieniane przez nauczyciela, potem w sylaby składane, potem wyrazy, nakoniec duże zdania i okresy, i tak, wszystko wybierając kulami, nauczyli się czytać.

Potem już z własną ochotą wyuczyli się pisać, rachować itd.

Ten Michaś Wołodkowicz został później sędzią trybunału, a Rejtan pisarzem ziemskim, obaj dozgonni przyjaciele księcia Panie kochanku.

Aby cała ta opowieść miała być prawdziwą, trudno przypuścić, jeżeli zważymy, że młody książę już w ósmym roku życia umiał tylko czytać, ale i wcale nieźle pisać, czego dowody zostały w archiwum nieświeskiem.

W jedenastym roku życia ojciec oddał młodego Karola na naukę do miejscowych szkół jezuickich w Nieświeżu, lecz już w trzy lata odebrał go ze szkół, pragnąc jak najprędzej wyprowadzić w świat, na widownię publiczną. A wielka szkoda, bo młody książę, gotujący się do pełnienia obowiązków krajowych, a przytem z tak znakomitego rodu idący i tyle bogactw mający przed sobą, przy większej nauce byłby mógł wiele dobrego dla ojczyzny swej zdziałać i większy wpływ wywarłby na pomyślność ogólną, niż się to w jego pokazało życiu. Posiadał od urodzenia ten tak zwany chłopski rozum, poznał w życiu przez obcowanie z ludźmi prawo krajowe, historyę narodu i wyuczył się znajomości stosunków, niestety z braku głębszej nauki nie miał jasnego poglądu na przyszłość, ślepo się trzymał tego co stare, choć to okazywało się nieraz szkodliwem dla kraju, mianowicie wobec dążności sąsiednich państw. Nieposzlakowanego męstwa, był odważny w boju, serce miał jak najlepsze, pełne uczuć szlachetnych, lubo z natury dumny, był popędliwy i nieraz gwałtowny.

Za wpływem i staraniem swego ojca, wielkiego hetmana, książę Karol już w czternastym roku życia swego, nie przygotowany jeszcze do przemawiania w imieniu potrzeb narodu, z mlekiem, jak to mówią, na wargach, zostaje posłem na sejm w roku 1748, wysłany przez szlachtę z powiatu oszmiańskiego, w dwa lata potem zasiada już na sądach wojskowych, a w trzy la-

ta później, jako siedemnastoletni pułkownik wojska litewskiego, zostaje wybranym przez szlachtę z Pińszczyzny jako sędzia na trybunał litewski. Skończywszy lat dziewiętnaście, zostaje miecznikiem litewskim, która to godność honorowa już go w rzędzie senatorów stawia. Kiedy wkrótce został marszałkiem najwyższego sądu na Litwie, trybunału wileńskiego, okazał się na tym urzędzie tak sumiennym, bezstronnym sędzią, a swym chłopskim rozumem umiał tak jasno rozpoznawać co jest fałszem, a co wykrętem, że prawnicy aż się za głowy brali!

Ten rozum naturalny posiadał książę Panie Kochanku do końca życia, miał tylko głowę niejasno przygotowaną do objęcia koniecznych zmian w ówczesnym rządzie polskim i do przebicia tej pajęczyny, która się zwie polityką, a którą kto chciał, to z zagranicy obwijał i obmotywał nieszczęsną krainę.

Tu następuje dziesięciolecie burzliwe w życiu młodzieńca. Uczty, zabawy, hulanki, burdy na sejmikach i miastach trybunalskich, łowy po nieprzebytych lasach z oddanymi sobie duszą i sercem młodymi towarzyszami, wypełniają te lata. Na te czasy przypada też utworzone przez naszego księcia miecznika sławne towarzystwo czyli banda albańska, której członkiem zostać wielu sobie miało za wielki zaszczyt.

Zawiązał młody książę to towarzystwo w rozkosznem, wiejskiem ustroniu z pięknym ogrodem, w domu zwanym Alba, nieopodal od Nieświeża. Pan Piszczało, niegdyś księcia nauczyciel, trafiając w myśl jego, ułożył przepisy tej bandy; patenta (świadectwa) podpisywał książę, jako naczelnik towarzystwa, którego kanclerzem do śmierci był Michał Wołodkowicz, a sekretarzem Michał Rejtan.

Książę nie mógł nikogo patentować, jeno za wstawieniem się dwóch trzecich części całego towarzystwa. — Obowiązki patentowanych były: stawiać się na każde wezwanie księcia konno i w całym rynsztunku, iść z nim, gdzie ich poprowadzi, nie zważając na żadne

niebezpieczeństwo, w każdym wypadku łba nadstawiać za honor Najświętszej Panny, księcia miecznika (później wojewody), swój własny i każdego z członków towarzystwa.

Między przepisami dla tej szkoły rycerskiej był i ten, że dwaj Albańczycy, mający między sobą zajście, nie mogli się ciągać po sądach, ale powinni byli rzecz kończyć u siebie, zdając się na jednego z kolegów, który w pewnych okolicznościach miał władzę dozwolić im nawet rozprawy na szable, jeśliby innego sposobu nie było do zgody.

Każdy członek w swych listach podpisywał się „radziwiłłowski przyjaciel", a książę go nazywał „panie kochanku". Że zaś wiele ze swoimi Albańczykami obcował, to nazwanie „panie kochanku" zamieniło się u niego w przysłowie, które ustawicznie powtarzał.

Mundur Albańczyków był barwy radziwiłłowskiej: kontusz słomiannego koloru, pod nim żupan krótki, błękitny, pas umyślnie na to w radziwiłłowskim Słucku robiony, srebrny, w orły czarne z trąbkami, spinka z emalii błękitnej, na której z brylancików była cyfra ze trzech liter; K.(arol) K.(siążę) R.(adziwiłł). U pendenta wisiała szabla, zwykle w jaszczur oprawna.*)

W tym mundurze trzeba było chodzić w Mirze, a potem w Nieświeżu, a gdy kto, nie mając patentu, ważył się gdziekolwiek ten mundur wdziać na siebie, mógł być pewnym, że zostanie zmuszony go zrzucić, bo mu go Albańczycy zedrą i wyrzucą za drzwi.

Żeby być przypuszczonym do tego grona, trzeba było być szlachcicem karmazynowym, to jest dawnego rodu i osiadłym, tęgim do konia choćby najdzikszego, w sztuce łowieckiej doświadczonym i niepospolitej odwagi.

Towarzystwo księcia Karola, które nieprzychylni

---

*) Właściwie pochwy szabel były w skórę jaszczurową, to jest chropowatą, mieniącą się niby jaszczurka, oprawne.

mu magnaci nazywali hajdamakami, składali ludzie nieposzlakowani i wszyscy prawie nabyli później sławy w dziejach naszych, powychodzili na wodzów, kasztelanów, tymczasem jednak w głowach młodych krew szumiała czasami zanadto. Nie dziw też, że w kraju nieograniczonych swobód, w epoce zupełnego rozprzężenia, popełniła butna młodzież kilka krzyczących zdrożności, że zbrojna radziwiłłowska czereda napadała nieraz na domy szlacheckie, że na sejmikach obywatelskich w Wilnie, Mińsku i Lidze, zachodziły nieraz krwawe sceny. Takie to już były wtedy czasy.

Tu opowiemy takie zdarzenie. W Nieświeżu mieszkał organista niejaki Ryś, szlachcic, którego ojciec był także tu organistą. Miał on syna Karola, który dostał się jako paź na dwór księcia Radziwiłła, wielkiego chorążego, do Kojdanowa, brata księcia hetmana, więc stryja księcia Panie Kochanku, także Karola, który mu był ojcem chrzestnym. Wyrósłszy na pięknego młodzieńca, został syn organisty dworzaninem i coraz dalej wzmagał się w łaskę pana swojego dla wierności, odwagi, a szczególniej siły: bo podkowy łamał jak trzcinę, a szablą tak robił, że chyba jeden Wołodkowicz, siłacz niepospolity i rębacz nielada, mógłby mu placu dotrzymać. Pojedynki też miewał częste, bo był zuchwały.

Młody książę Karol Radziwiłł, miecznik litewski, będąc raz w gościnie u stryja w Kojdanowie, przy kielichu, powiedział młodemu dworzaninowi:

— Panie kochanku, pókiś przy ojcu siedział, nazywano ciebie Rysiem, ale odkąd przyłaskawiono ciebie na dworze mojego stryja, powinieneś nazywać się kotem, bo kot jest ryś swojski.

Na to Ryś tak się oburzył, że ani go to zastanowiło, że sprawa była z synowcem i spadkobiercą swego pana, ale wręcz mu powiedział:

— Ja nie waszej książęcej mości chleb jem, ale jego stryja, a moja służba nie rozciąga się do tego, abym od całego domu mego pana miał przygryzki znosić. Ja

taki dobry szlachcic jak i książę. Książę nie masz prawa przekręcać mojego nazwiska, boś mi go nie dał, i proszę natychmiast ze mną się rozprawić.

Książę lubo przed Bogiem i ludźmi mógł być wymówionym, że nie przyjął wyzwania od dworzanina swojego stryja, będąc sam tęgim do korda, rad był się spróbować z graczem, za jakiego uchodził Ryś, ile że go miał za dobrego szlachcica.

Pomimo przełożeń swoich sług i przyjaciół dotrzymał placu z niemałą szkodą swojego zdrowia, bo takie cięcie dostał powyżej łokcia, że kilka niedziel z pokoju nie wychodził.

Nawet książę hetman, lubo srogim był dla syna, tak bardzo to uczuł, że pojechał do Kojdanowa uskarżyć się przed bratem, iż jego dworzanin syna mu okaleczył. Na to książę chorąży odpowiedział:

— Niech książę brat da temu spokój: nasz miecznik tak mi jest miły, jak i samemu księciu, bo że dzieci nie mam, on mi jest synem i dla niego pracuję, ale sam się żalisz, iż jest niespokojnego umysłu, a więc, jak raz i drugi oberwie za swoje, ażaliż się nie upamięta? A na koniec za co mam karać Rysia, kiedy, urodziwszy się szlachcicem, postąpił po szlachecku?

Nie zaszkodziła wszakże Rysiowi ta burda nawet w przyszłości, bo dobry książę Karol, gdy następnie po ojcu Nieśwież otrzymał, jedną z pierwszych jego czynności było, że mundur albański mu przysłał i przywiązał go ściśle do swojej osoby.

Zawsze szczęśliwy, młody Ryś w 24 roku życia został obrany deputatem, to jest sędzią, na trybunał litewski, pod laską to jest przewodnictwem księcia Panie Kochanku, i stał się zczasem dziedzicem około 20-stu folwarków.

Za szczególne łaski, których od księcia doznał, odwdzięczył się Ryś obok przyjemności ze swego obcowania dowodami niepospolitej przychylności. Bo gdy następnie książę Karol doznał przykrych zmienności losu i przez pewien czas był pozbawiony prawie swoich

dostatków, nie zawiodły go serca przyjaciół i pan Ryś był z liczby tych, co się najszczególniej odznaczyli, bo na swoje dobra dwakroć sto tysięcy złotych zaciągnąwszy, całkowitą kwotę odesłał księciu we Włoszech zostającemu. Gdy znowu los uśmiechnął się księciu, pan Ryś w Nieświeżu razem z Albańczykami się bawił, towarzyszył mu na łowach i tańczył na balach zamkowych; słowem, był nieodstępnym druhem księcia.

Wkrótce po śmierci matki, zapewne na życzenie ojca i jak się zdaje bez miłości, ożenił się 20-letni miecznik wielki litewski, pojmując za żonę księżniczkę Maryę Lubomirską z dzisiejszej Galicyi, starościankę bolimowską. Zamieszkał z nią w zamku Mirze, na Litwie, oddanym mu przez księcia hetmana.

Pożycie księcia Karola z żoną nie było szczęśliwem, a trzeba też przyznać, że w takiem burzliwem pędzeniu dni młodości żadna wyższa kobieta wytrzymaćby nie była mogła, to też po kilku już latach, w roku 1760, przyszło do rozwodu z księżną Maryą, i nasz Panie Kochanku został naraz wolnym. Odtąd znowu uprzyjemniał sobie żywot młody, pięknie wyrośnięty, modrooki miecznik w pożyciu i pohulankach z przyjaciołmi swego wieku, których rekrutował z każdego litewskiego i wołyńskiego dworca. Wśród nich górował wspomniany już Wołodkowicz, młodzieniec gwałtownego usposobienia, zawadyaka, pojedynkowicz i zuch do kielicha zawołany! Swój swego pokochał, boć Panie Kochanku była też szalona głowa, nim się piwko nie uchodziło, to też, gdy książę miecznik chciał komu dopiec, na kogo złość miał, Wołodkowicz wnet stawał gotowy i spełniał co do joty zamiary i wolę księcia.

Za wpływem i pomocą księcia Karola został ten zagorzalec młody wybranym do trybunału wileńskiego, jako deputat z województwa nowogrodzkiego. Zły duch podszepnął mu postanowienie zostania także deputatem na trybunał, na kadencyę ruską, która się w

Mińsku pod ten czas odbywała. *) Książę przeprowadził to z łatwością, oddał przyjacielowi kamienicę swoją w tem mieście na kwaterę i z dóbr blizkich wszystkiego na kuchnię dostarczyć kazał, a jeszcze przysyłał assygnacyę do kupców na wino, ileby mu tylko z jego dworem potrzeba było.

Z początku szło wszystko wyśmienicie! Pan deputat Wołodkowicz, nie mający jeszcze wtedy lat 30-stu wieku, statkował. Wprawdzie bankietował i traktował po pańsku, ale nie szalał i nie hajdamaczył; obrano go nawet podskarbim trybunalskim.

Ale gdy sobie dobrze pałkę zalał, co mu się często zdarzało, wtenczas taki był z niego waryat, że albo jemu pomagać, albo uciekać trzeba było. Samemu dyabłu by nie ustąpił!

Marszałek trybunału, książę Sapieha, nie przyjechał na sądy; zastępował go przeto wicemarszałek, Morykoni, starosta poniński, ród z Włochów prowadzący, lecz którego przodkowie dawno już osiedli na Litwie. Wołodkowicz nie rad był, że niżej siedział na sali sądowej od Morykoniego, którego Włochem i cudzoziemcem nazywał. Lecz toby jeszcze uszło, bo Morykoni, biegły w prawie, uważany i pomiarkowany pan, puszczał słowa Wołodkowicza mimo uszu, ale przypadła jakaś sprawa, blizko go obchodząca, w której Wołodkowicz chciał koniecznie na swojem postawić. Gdy mu się to nie udało, powrócił z sądów jak lew roz-

---

*) Najwyższymi sądami w Polsce były trybunały. Szlachta wybierała z pośród siebie na sejmikach 24 deputatów, to jest sędziów, którzy w kolejach czasu zasiadali wraz z duchownymi deputatami. Deputaci znowu wybierali z pośród siebie przewodniczącego czyli marszałka. Takim marszałkiem był dwukrotnie wybrany nasz książę Radziwiłł w Wilnie. — Dla Korony były trybunały w Piotrkowie i Lublinie, dla Litwy i Rusi w Wilnie, Grodnie i Mińsku.

juszony i zaczął pić z przyjaciołami, nareszcie pod wieczór wybrał się na trybunał.

Wierni jego słudzy przytrzymywali go, jak mogli, i za poły i za ręce i za pas, a niektórzy do nóg mu padali, prosząc, aby nie szedł.

— Pójdę! niech się dzieje co chce, — wrzeszczał — pójdę i nauczę tego Włocha, kto ja i kto za mną!

Widocznie ufał zapamiętalec w Radziwiłła, a Radziwiłł był daleko!

Było to w przeddzień Najśw. Panny Maryi Gromnicznej. Gdy przyszedł na ratusz, gdzie sądził trybunał, warta puściła go ze służbą jako deputata, choć sąd się naradzał. Służba została w izbie ustępowej, w tłumie obrońców i pisarczyków.

Ledwo drzwi za sobą zamknął Wołodkowicz, wszczął się zgiełk szalony, potem szczęk szabli, a nakoniec otworzyły się nagle drzwi, i krzyknięto: „warta! warta!"

Cóż się pokazało? Oto gdy Wołodkowicz, mocno podchmielony, wpadł na salę sądową, w sprzeczce obnażył szablę, rzucił się na pana Dłuskiego, deputata lidzkiego, ciął go w rękę, że krew pociekła, a potem chcąc dosięgnąć przez stół szablą samego Morykoniego, gdy ten się uchylił i uniknął ciosu, w zapędzie ciął po krzyżu, stojącym na stole, że odrąbał część jego!

Nim warta nadbiegła, deputaci i woźni przyparli go do ściany i odbierali mu szablę, lecz on tarzał się ze wszystkimi i starał się do drzwi dostać. W tę chwilę przypadł Krajewski, rotmistrz i dowódca żołnierzy trybunalskich, a za nim kilkunastu piechurów. Porwał więc Krajewski ze swoimi Wołodkowicza, ale z wielką męką, bo był to człowiek, jak się rzekło, młody, siłacz wielki i bardzo odważny.

— Do turmy! do kordegardy! i okuć napastnika, kryminalistę! — zawołał wicemarszałek do Krajewskiego — a wartować z ostrą bronią!

Jeden ze służby, niejaki Bielewicz, widząc, że może się to gardłem skończyć, poleciał do kwatery Wołod-

kowicza, porwał garść dukatów ze szkatuły pańskiej, dopadł konia i ruszył, ile tylko mógł wyskoczyć, do Nieświeża, szukając księcia Karola, bo on jeden mógłby jego pana uratować. Stanął w Nieświeżu w nocy. Tam się dowiedział, że księcia miecznika niema, że polował daleko aż w Białej na niedźwiedzie, niedaleko od Białegostoku. Odmieniwszy więc konia, puścił się dalej. Dopiero szóstego dnia, pod wieczór, dopadł księcia w głębokich ostępach leśnych. Gdy opowiedział, co się w Mińsku stało, książę oniemiał.

— Panie kochanku! — krzyknął potem — pan Michał sfiksował!

— Ratuj, książę panie, bo zginie! — zawołał Bielewicz.

— Ja go z turmy wyratuję, choćby przyszło odbić, ale od biedy nie wyratuję. Nie ma on po co popasywać w kraju, to wybryk niesłychany!

Książę zebrał myślistwo i w nocy przyciągnęli do Białej. Wielu panów z sąsiedztwa polowało z nim razem. Jedni z nich radzili mu zupełnie zaniechać i nie wtrącać się do niczego, drudzy, pisać do marszałka Sapiehy, do Morykoniego i deputatów, a jeszcze inni radzili jechać do Nieświeża i spuścić się na wpływy księcia hetmana.

— Radzicie mi wszyscy — odezwał się książę — jak tchórze i partacze. Kto nie chce, niech ze mną nie jedzie, panie kochanku, obejdę się i bez doradzców. Mam zajechać do księcia ojca? a toć Rybeńku nie puści mnie i za próg domu, każe komendantowi zamku i fortecy zamknąć bramy, mosty pozwodzić i bez ceremonii do kozy mię zapakuje. Czy to już raz tak bywało?

Odpowiedziano mu, że Wołodkowicz po takiem przestępstwie sądu i kary ujść nie może, i że spokojnym i łagodnym wpływem więcej książę dokaże, niż gwałtownym napadem na miasto i trybunał, splami na zawsze honor i imię swoje, a zmartwi najmocniej księcia hetmana, ojca. Wreszcie zauważono, że możeby

przyszło mu wraz z Wołodkowiczem zmykać z kraju przed powszechnem oburzeniem.

Książę milczał, tylko głową kręcił. Potem odezwał się do Kossowskiego, swego nadwornego i ulubionego żartownisia, który często rozweselał swymi dowcipnymi żartami księcia, gdy siedział kiedy smutny.

— Kossowski! a waść co na to?

— Mnie się zdaje, mości książę — że jak zaczniemy klin klinem wybijać, to — gdyby nas tylko kliny nie rozparły!

— Mówcie, co chcecie — rzekł nareszcie książę — ja pana Michała nie odstąpię. On ciałem i duszą mój! on mój przyjaciel od serca, a ja mam spokojnie czekać, aż zginie? Nie, moi panowie, nie!

— Kulesza! (był to łowczy księcia) ruszaj, panie kochanku z całem myślistwem dniem i nocą do Kojdanowa, omijając Nieśwież; w Kojdanowie roztasuj się w miasteczku i czekaj na mnie, a rozpuść głos, że za przybyciem mojem pociągniemy w nalibockie lasy na dziki.

Myśliwstwo księcia Karola, radziwiłłowskie, to nie żart! Każdy strzelec miał barwę i porządny rynsztunek, kurtkę i szarawary zielone, pas skórzany, szeroki, ztyłu na sprzączki mosiężne spięty, z dwoma tuzinami ładunków, a przy nich flaszkę oplataną z wódeczką i w osobnej kieszonce nóż, krzesiwa, skałki i inne myśliwskie sprzęciki. Przedewszystkiem zaś fuzya, także na zielonej taśmie przez ramię, przez drugie na takimże sznurze trąbka, a oraz koń z całym przyborem i para pistoletów w olstrach, a przy siodle trok na zwierzynę. A takich ludzi było zawsze na polowaniu około księcia ze stu, nie licząc łowczych i podłowczych, bo oni jako oficerowie tego wojska, uwijali się i komenderowali na obławach.

Nazajutrz o świcie kazał książę zagrzać wina z korzeniami na rozgrzewkę; napili się wszyscy, a że ci i owi przymawiali się jeszcze o krupnik, ugotowano więc gorzałki z miodem i masłem, zaprawionej gwoździka-

mi, przekąsili słoniną z chlebem i wędlinami, i puścili się dalej w drogę. Był to już dzień siódmy od wyjazdu Bielewicza z Mińska.

Na wielkich saniach, łubem obitych, na jakich pospolicie w ostępy na obławę jeżdżono, jechał książę pan zamyślony z jednym z dworzan i z hajdukiem, na drugich Kossowski, trefniś z pokojowcem i Bielewiczem, po cztery konie gąsiorem w zaprzęgu. Inni postępowali konno.

Książę nie folgował ani sobie, ani ludziom, ani koniom, ale nocą jechać nie mogli, bo taka była ciemność, a zawieruchy tak strasznie mroźne i nieustanne, że koniecznie noclegi odbywać przychodziło. Nadłożono jeszcze drogi manowcami, mijając Nieśwież, a tak aż piątego dnia w wieczór stanęli w Kojdanowie. Był tam już w zajeździe żydowskim Kulesza z myśliwymi, a to już schodził dzień dwunasty od wyjazdu Bielewicza z Mińska.

Pierwsza nowina nieszczęśliwa, którą jadący ichmościowie z Mińska przywieźli, była, że Wołodkowicz dziś rano osądzony na śmierć, na trzeci dzień będzie rozstrzelany.

— Nie doczekają! — krzyknął książę — ja ich samych... Kulesza! na koń z ludźmi, a mnie wybierz konia najlepszego z pod którego strzelca. A Piłaty! a Herody, nie sędziowie!

Drżał cały ze złości i tupał nogami. — Jakiś jegomość przyjezdny objaśnił księcia, że zaraz nazajutrz po napaści Wołodkiewicza sędziowie ogłosili mu wyrok na gardło i w kordegardzie go odczytali, a teraz właśnie mają wyrok wykonać.

— Więc ani minuty niema do stracenia! — zawołał książę. — Niebezpieczeństwo w zwłoce, panie kochanku!

Już tedy książę miał ruszać, choć noc była ciemna.

— My z tobą, książę! — krzyknęli wszyscy zebrani w karczmie.

— Dziękuję pokornie, dziękuję, — rzekł książę. —

że biednego Radziwiłła nie opuszczacie. Kto ze mną, panie kochanku, i ja z nim. A! te Filistyny na złość mnie chcą zabić mojego przyjaciela.

Wtem mocno zastukano do karczmy w okno. Wpuszczono dobijającego się. Był to Rupejko, podstoli, mecenas trybunalski, sługa i plenipotent księcia hetmana w Nieświeżu, a miał też i u księcia miecznika wielkie złapałem!

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł, wchodząc. — Chwałaż Bogu, że przecie księcia złapałem!

— Na wieki wieków, panie kochanku! A na co mię łapiesz? i skąd wiedziałeś, żem ja tutaj?

— Książę hetman, ojciec waszej książęcej mości, wie dokładnie obroty księcia, wyjazd z Białej, cały marsz armii myśliwskiej i wszystkie noclegi i popasy. Dlatego wysłał mię tu, wiedząc, że wasza książęca mość myśliwstwu na siebie czekać kazała.

— Dobry hetman, panie kochanku, z mego pana ojca, gdy takich ma szpiegów. To wiecie zapewne już, że Wołodkowicz na śmierć osądzony.

— Nie, tego jeszcze nie wiedziałem, i książę hetman, gdym z zamku wyjeżdżał, nie wiedział ale ja to przewidywałem.

— Przewidywał! przewidywał! — Otóż ja w tem, panie kochanku, że inaczej się stanie. No, o cóż więc idzie? panie podstoli! mów prędko, bo wnet siadam na konia.

Rupejko opowiedział, że książę, jako hetman, swoją władzą zakazuje księciu miecznikowi mieszać się w tę sprawę, a jako ojciec zaklina, aby pamiętał na swoje imię, że Radziwiłłowie wiernie zawsze i poczciwie służyli krajowi, i nigdy nie bronili takiej swawoli i występku, na który dusza się wzdryga!

— Dość, panie kochanku, dość! — zawołał popędliwie książę. — Dajże radę! na miłość Boga, dajże radę!

— Rada krótka i gotowa, mości książę! zaniechać Mińska wrócić do Nieświeża i uspokoić ojca.

— To niepodobna, panie podstoli, to niepodobna! Prawda, zgrzeszył Wołodkowicz, a i ciężko zgrzeszył, ale czyż dlatego ma umierać? Nikogo nie zabił. Ja Dłuskiemu złotą rękę odleję. Występek, jak nazywacie, stanu, niech w wieży odpokutuje... Ale śmierć, panie kochanku, śmierć! Nieszczęśliwy człowiek, jego cała nadzieja we mnie!... on mój od dziecięctwa przyjaciel!... Panie podstoli! radź inaczej, ja ci się odwdzięczę! dalibóg, odwdzięczę! panie kochanku.

— „To poczciwe serce naszego księcia," — gadali między sobą ichmość tam obecni — „nie żal dla takiego zdrowie i życie ważyć!"

Po różnych uwagach i wyrzeczeniu, że trybunał może jeszcze wyrok odmienić, pan Rupejko, znający dobrze, że lepsze słońce wschodzące, aniżeli zachodzące, na prośby księcia przyrzekł pojechać zaraz do Mińska i wystarać się u sędziów o zawieszenie wyroku do jakiegoś terminu, a natenczas starania u króla mogą zmienić wyrok na inną karę.

Szepnął nawet księciu do ucha, że za tę szkaradną burdę po pijanemu wywołaną, wedle prawa, należała się Wołodkowiczowi tylko kara więzienia rocznego i sześć niedziel wieży; wyrok zatem jest zanadto srogim.

Książę rzucił się Rupejce na szyję, ściskał go i całował.

— Panie kochanku! — zawołał — bierz, co chcesz, byle tego zawieszenia wyroku dopiąć. Potem wszystko łatwiej pójdzie. Jedź natychmiast do Mińska.

— A jeżeli się nie uda? — odezwał się ktoś z towarzystwa. — Moryconi, człek twardy jak stal i uparty jak kozioł!

Na to zawołanie, jakbyś niespodzianie z pistoletu nad uchem palnął — książę stanął jak wryty; Rupejko spuścił głowę i wszyscy stanęli jak oniemieli.

— Jednakowoż, mości książę — odezwał się pan Sołohub, powiernik księcia hetmana ojca — niech pan

podstoli próbuje szczęścia. My tymczasem zostańmy tu i czekajmy.

— Nim Wołodkowicza rozstrzelają, panie kochanku, albo nim książę hetman przyśle tu hussaryę, aby nas do Nieświeża odprowadziła. Nie, panie kochanku, niech pan podstoli jedzie i czyni starania, ale niech przytem wiedzą panowie sędziowie trybunalscy, że ja tuż! — i że gdy zabiegi nie pomogą, ja moje rozpocznę i bodaj skuteczniejsze.

Stanęło wreszcie na tem, że pan podstoli wyjechał zaraz do Mińska, a książę z drużyną równo ze świtem miał wyruszyć na obławy w lasy smolewickie, które prawie do samego Mińska dotykają, i tam czekać wiadomości z miasta.

Potem każdy drzemał, jak mógł. Książę siadł za stołem, położył na krzyż ręce na stole, a głowę na rękach i zaczął chrapać na całą izbę.

Z plebanii, jak tylko na brzask, przysłał ksiądz do karczmy na śniadanie kilka dzbanów grzanego piwa i wyśmienitych zrazów duże dwie misy, które zajadając, książę odezwał się:

— Otóż nam dogodził, poczciwy pleban, wart będzie za to nagrody.

*

Zostawmy na chwilę księcia miecznika w drodze, a tymczasem dowiedzmy się, co zaszło w Mińsku z Wołodkowiczem. Otóż po dekrecie, jak go Wołodkowiczowi przeczytali z rana w kordegardzie, tak zaraz pan rotmistrz Krajewski rozkazał przynieść kajdanki. Wołodkiewicz żadną miarą okuć się nie dozwolił.

— Jestem szlachcic — mówił — kiedy potrzeba umrzeć, to dziej się wola Boża! Nie jestem nawet prawnie osądzony, bo nie dano mi ani czasu, ani patrona do obrony, a zatem wara z kajdanami, wara!

Krajewski przekładał i przepraszał nawet, że musi spełnić dekret trybunalski. Jakoż, choć się więzień dą-

sał, przy pomocy kilku prostych żołnierzy, włożono mu łańcuszki na nogi.

Wołodkowicz, obaczywszy się okutym, gorżko płakać zaczął, załamywał ręce, że aż wszystkim żal się go zrobiło.

Na prośbę Wołodkowicza, pozwolił mu Krajewski widzieć się z dworakiem jego, Surwintem. Ten przyszedł zestrachany i rozżalony, gdy spostrzegł pana swojego okutego, hrymnął mu do nóg i oba zaryczeli z płaczu. Warta płakała także, bo serce im się krajało. — Między innemi zapytał Surwinta więzień półgłosem:

— A nie masz od księcia Radziwiłła żadnej wiadomości?

— Po mieście jak w bęben biją, — odrzekł zapytany, — że książę lada godzina wpadnie z wojskiem i odbije pana.

— Więc w Bogu nadzieja! — rzekł Wołodkowicz, rzeźwiąc trochę.

Rzucił potem na stół parę dukatów i żądał od Krajewskiego, aby kazał przynieść wina.

— Na frasunek upiję się z moim poczciwym Żmudzinem — rzekł.

Ale Krajewski mu odpowiedział, że tu nie ma żartów. Kiedy żelaza na nogach, o Bogu nie o ludziach myśleć potrzeba, dlatego życzył mu wezwać kapłana i wyspowiadać się.

— Wyspowiadam się — odpowiedział hardo Wołodkowicz — wyspowiadam. Waść mi kajdanki włożyłeś, ale będzie taki, co je zdejmie i może kogoś niemi opatrzy. Każ przynieść wina!

— Nie tylko nie mogę wypełnić tego życzenia, — odpowiedział rotmistrz, — ale nie mogę dłużej zostawić tu sługi pańskiego. Panie Surwint, pożegnaj się ze swoim panem i wychodź!

— Panie rotmistrzu, dobrodzieju! — rzekł wtenczas Surwint ściskając jego kolana, pofolguj. Czy to niedość za takie błazeństwo, że pana mego, który jest pan z panów, w kordegardzie żołnierskiej trzymacie, żeście mu

łańcuszki włożyli, że go śmiercią straszycie i chcecie jeszcze dłużej tak go dręczyć?

Wszak zresztą panu Dłuskiemu palce się pogoiły. Dalibóg, panie rotmistrzu, puszczaj nas już jegomość wolno i sam nie pożałujesz tego.

— Jesteś poczciwy sługa, panie Surwint — odparł Krajewski — ale wybacz, głowa nie do rady. Nie ja sądzę, ani ja kuję, ani ja strzelam. Trybunał osądził, trybunał zakuł, i...

Wołodkowicz dokończył: i rozstrzela!

Usiadł potem na zydlu za stołem, głowę oparł na rękach i zamyślił się. Krajewski także milczał posępnie, a Surwint płakał, stojąc jak wryty. Na powtórzony rozkaz, żeby pożegnał już więźnia, zbliżył się do biednego zamyślonego pana, a on nie podejmując głowy: „bądź zdrów! — powiedział — obaczym się może na Józefatowej dolinie!“ — o ciszej dodał: „kiedy do jutra nie będzie tu Radziwiłła, leć do Nieświeża, bo zginę.“

Ucałował kolana pańskie Surwint i wyszedł, niosąc kamień na sercu. — W mieście był ruch szalony; warty srogie urządzono w trybunale, i w bramie i na schodach je porozstawiano. Lud miejski chodził, rozmawiał i pocieszając się powtarzał słowa: „Trybunał z dekretem, a Radziwiłł z muszkietem!“

Po wyjściu sługi Wołodkowicz doprosił się u Krajewskiego butelki wina. Duszkiem ją wypił, rozciągnął się na swojem łóżku, bo mu je wpierw już dano z pościelą, i zasnął w najlepsze.

Tymczasem nadszedł wieczór. Krajewskiego wezwano do trybunału. Gdy powrócił, obudził Wołodkowicza, wyjął z zanadry papier i rzekł doń: — Czytaj! — A był to rozkaz na piśmie, dany do trybunału rotmistrzowi, rozstrzelania osądzonego we trzy godziny.

— Jakto? — zrywając się z łóżka, krzyknął Wołodkowicz. — Dekret dał mi czasu trzy dni. Cóż to ma znaczyć?

Dobył potem Krajewski zegarek. — Pół do dwunastej — rzekł — masz czasu do wpół do trzeciej; za każ-

dą minutę odpowiedzialny jestem. Polecaj Bogu swą duszę. Niema żadnego ratunku; posłałem po księdza.

— To być nie może! to być nie może, żebym miał tak marnie zginąć! — mówił Wołodkowicz, suwając prędko spętanemi nogami i wlokąc łańcuchy po cegłach posadzki.

Za chwilę wszedł i ksiądz spowiednik. Był on rodzonym bratem owego Surwinta. Obadwaj szli teraz razem do trybunału, ale że Krajewski rozstawił naokoło kordegardy na rynku o jakie pięćdziesiąt kroków szyldwach i kazał strzelać, jeżeliby kto za tę linię ważył się przestąpić, a kiedy kto się przybliżał, to szyldwach krzyczał: „nie następuj, bo strzelę!“ zatem księdza spowiednika przeprowadzono, lecz Surwint musiał zostać i gdy tamten wszedł do kordegardy, Krajewski, postawiwszy tam czterech żołnierzy z nabitą bronią przy drzwiach, rzekł do nich:

— „Baczność na skazanego! głową odpowiadacie“ — i sam wyszedł.

Na rynku pełno było ludu, jakby nabił! W sali sądowej świeciły się okna jak z kościoła podczas roratów. Surwint poszedł tymczasem do kościoła i padłszy krzyżem modlił się a płakał. W kordegardzie zaś, gdy ksiądz przybył, Wołodkowicz jeszcze włóczył się po izbie, dąsał i złorzeczył, ale jak ksiądz postawił krzyż na stole, a przed krzyżem złożył święty wijatyk, Wołodkowicz spojrzał na Ukrzyżowanego i upadł na kolana.

— O, Chryste Jezu! zawołał, płacząc — zgrzeszyłem, śmiertelnie zgrzeszyłem, ale żałuję z całego serca, z całej duszy żałuję. Przepuść winę moją, i kiedyż już mam śmiercią ginąć, dajże mi przynajmniej stanąć przed Tobą z czystem sumieniem. Ojcze! spowiadaj mię!

W drugim końcu izby ksiądz usiadł na zydlu, on ukląkł i z całego życia najszczerszą spowiedź uczynił z wielką skruchą. Przebaczył swoim sędziom i wszystkim. Ze lwa srogiego stał się łagodnym barankiem. — Po rozgrzeszeniu mówili psalmy pokutne, a potem modlitwy nad konającym. Wszedł Krajewski; ksiądz coraz

to dłuższe wynajdywał modlitwy. — A nuż cud Boski i skądkolwiek ratunek!!!... — Krajewski spojrzał na zegarek, leżący na stole, przeszedł się jeszcze z kilkanaście razy po izbie, nareszcie rzekł do księdza:

— Ojcze! uczyniłeś twoją powinność gorliwie, ja muszę moją wypełnić!

— Panie rotmistrzu! rzekł, powstając z klęczek Wołodkowicz — na dowód, żem szczerze się z Bogiem pojednał, i żadnego w sercu na nikogo nie zachowuję gniewu, proszę, — podaj mi rękę.

Krajewski podał mu rękę, a drugą łzy sobie ocierał. — Panie! — rzekł mu przytem — mówiłem, że nie ja sądzę, nie ja rozstrzelam, a przeklinam moją nieszczęśliwą teraźniejszą godzinę! — Księże! wracaj już do siebie.

Wołodkowicz uprosił, aby dla lżejszej śmierci ksiądz pozostał z nim do ostatka.

— Panie! — rzekł znowu Krajewski — czas jest...

Skinął na podoficera, a ten wprowadził sześciu żołnierzy z bronią na ramieniu. Stanęli obok czterech wartujących. Przeraziło to mocno Wołodkowicza i załamał nieborak ręce.

— O! Boże, Boże! wykrzyknął i wzywał głośno swego brata Józefa, krewnych i „gdzieżeś, książę Karolu?!" zakończył.

Dalej mówił znowu Krajewski do Wołodkowicza:

— Nie zechcesz zapewne, panie, abym gwałtem...

Wołodkowicz nic już nie odpowiedział, stał oniemiały, jakby bez przytomności.

*

Tymczasem w rynku lud gromadnie stojący już się zaczął rozchodzić, gwarząc między sobą: że to sam Wołodkowicz musiał księdza zapotrzebować, więc mu go i przyprowadzili, ale jeszcze go nie rozstrzelają, chyba na trzecim dniu. — W oknach kordegardy światła biegały jakby przenoszone z miejsca na miejsce, ale stojący w rynku ludzie jeszcze nie mogli zmiarkować, coby to by-

ło? Nagle błyskawica tam i piorun!... Szyldwachy stanęły jak wryte. Wnet strzał drugi, mniejszy, a potem cicho, i jedna już tylko świeczka migała przez szybkę w kordegardzie. Surwint, który stał zdala, mając wzrok wlepiony w to okienko, poczuł, jakby mu mrówki przeszły po skórze. Lud z domów wysypywać się zaczął, a Surwint ujrzawszy księdza brata, umykającego spiesznym krokiem przez rynek, zabiegł mu drogę, schwycił za rękę i „stój, księże!" — zawołał.

— Wołodkowicz już przed Bogiem. Chodźmy — odpowiedział ksiądz.

— Nie może być! — rzekł brat, — trzęsąc się jak osina. — Pójdę obaczyć nieszczęśliwego pana mojego.

— Próżno, nie wpuszczą cię. Chodź, mówię, ze mną.

Po chwili, gdy poczciwego sługę u niego w celi trochę drżączka odbiegła, rozpowiedział mu ksiądz brat ostatnie chwile Wołodkowicza, tak jak to opisaliśmy powyżej i dodał jeszcze te słowa: Gdy weszło sześciu żołnierzy z bronią nabitą do kordegardy, dwóch z nich wzięło Wołodkowicza pod ręce i podprowadziło do ściany, Krajewski zawiązał mu oczy i spuścili go na klęczki. Ksiądz przybliżył się natenczas i przykładając krzyż do ust jego, rzekł głośno: „Polecaj się Bogu, Michale, i ufaj w Jego miłosierdzie". — Na te słowa, jakby cudem, odzyskał siłę i przytomność, ucałował krzyż; Krajewski dał znak księdzu, aby się oddalił, a Wołodkowicz zaczął mówić: „W ręce Twoje, o Boże! polecam..." — Kule przecięły mowę i modlitwę; upadł, ale padając, krzyknął: „Jezus! Marya! Józ..."

Taką nam wiadomość podały spisane dzieje o śmierci tego serdecznego przyjaciela księcia Panie Kochanku.

*

Po śniadaniu, przysłanem do zajazdu przez księdza plebana, zaraz raniutko książę miecznik, myśliwstwo całe i nowi przybysze przyjaciele, jedni z ciekawości,

drudzy z życzliwości, siedli na konie, a tak z półtorasta konnicy przy szablach i pistoletach ciągnęło za księciem traktem mińskim. Wszyscy byli gotowi na jedno słowo księcia choć w ogień się rzucić.

Książę puścił się kłusem i już z mil parę ubiegli, a dzień piękny się zrobił, gdy ostrzeżono księcia, że konie słabieją, i że wytchnąć należało.

— Nic to — rzekł książę — kto ustanie, to ustanie; pod Mińskiem popas i tam dosłyszymy Rupejki, a potem...

Ledwo to wymówił, ujrzano konnego, lecącego ku niemu od Mińska. Był to właśnie sługa Wołodkowicza, znany nam Surwint. Postrzegłszy gromadę, przypuścił konia i doskoczywszy przed księcia.

— Już po wszystkiemu! — rzekł, — nie żyje!...

— Kto? Wołodkowicz? Zwaryowałeś?...

— Wołodkowicz! Rozstrzelali!

— Jezus! Marya! Józef! Kłamstwo!

— Nie kłamstwo, mości książę! Na własne oczy widziałem trupa; leży w kordegardzie i krew gorąca jeszcze ciekła z piersi i uszu, gdym z Mińska wyjechał.

— Kiedy rozstrzelali?

— Dziś po północy.

— Gwałt! gwałt! — krzyknął książę. — A niechże mię ziemia poźre, kiedy ja im to daruję. Wygubię tych rozbójników! Ze mną, kto w Boga wierzy!

I chciał puścić się pędem, ale wstrzymał konia za cugle Sołohub.

— Po co teraz? mości książę! Umarłego nie wskrzesimy.

— Ja nie biskup Szczepanowski, wskrzeszać nie umiem, ale zemścić się potrafię! Niech ich potem, kto chce, wskrzesza. Ha! Barabasze! Puszczaj mnie, bo tobie samemu łeb rozpłatam!

I rwał się do pałasza. A Sołohub zeskoczył z konia i stanął naprzeciwko, trzymając ciągle książęcego konia za cugle.

— Płataj! jeśli chcesz, książę! — odrzekł — raczej zabij mnie, niżelibyś miał w Mińsku...

— Ale darmo do Mińska — wtrącił Surwint — niema tam już żadnego deputata, bo zaraz po rozstrzelaniu Wołodkowicza rozjechali się wszyscy. Poprostu mówiąc, pouciekali Morykoni i deputaci każdy w swoją stronę, gdy wczora po mieście rozszedł się z końca do końca rozgłos, że książę z wielkiem wojskiem lecisz na odbicie Wołodkowicza, i dlatego co go mieli za trzy dni rozstrzelać, to nie czekając terminu wyroku, rozstrzelali w nocy.

Książę zsiadł z konia, spuścił głowę, „wieczny odpoczynek daj mu Panie!“ po kilka razy powtarzał i ocierał z łez oczy. Bielewicz płakał jak bóbr swojego pana, a Surwint chlipał, jak dziecko.

Książę siadł znowu na konia, zawrócił nazad i kazał Surwintowi jechać obok.

— Opowiedz mi waść całe to smutne wydarzenie — rzekł do niego.

— Niema co mówić, jaśnie oświecony książę panie! rozstrzelali i po wszystkiemu — rzekł Surwint.

— Zgłupiałeś z wielkiego żalu, panie kochanku!

Więc zaczął Surwint opowiadać to wszystko, cośmy dopiero wyżej o Wołodkowiczu podali, i co opowiedział mu przy trupie porucznik warty trybunalskiej, pan Sielanko. Gdy przyszło z kolei do tego, jak Wołodkowicz przed śmiercią wołał księcia Karola, ten mu przerwał, becząc w głos jak dziecko:

— Nie gadaj waść, nie gadaj, bo wytrzymać trudno. Darował on nieprzyjaciołom swoim, ale ja im dalibóg! nie daruję... choćby zginąć przyszło!!!... — Jakże dalej?

Surwint kończąc, mówił, że doprosił się do trupa; obaczył więc swojego kochanego pana, pomodlił się przy nim za duszę i dowiedział się, że trzy kule odbiły się od medalu Najśw. Panny, który Wołodkowicz jako dobry katolik nosił na piersiach, i że za żupanem je znaleziono.

— A czemuś waść tych kul nie przyniósł — rzekł książę.

— Pan rotmistrz zabrał je sobie; prosiłem choć o jednę i mówiłem, że zaniosę j. ośw. księciu panu. „Oho! — odpowiedział Krajewski — żeby potem niemi mię potraktował? Nie dam żadnej...“ i wyprawił mię z kordegardy. Więc ja wnet na konia i spotkałem waszą książęcą mość tu w lasach.

Po tem rozpowiadaniu Surwinta jechali cicho. Książę milczał, ani słowa do niego nie rzekł i tak w kilka godzin dojechali do Świerznia. Książę zawrócił pod kościół, zawołał plebana, dał mu kilka dukatów, kazał dzwonić za duszę swego przyjciela, a po rannej mszy, żałobną mieć zlecił. Wszyscy słuchali jej nabożnie a kiedy po ukończeniu ksiądz zaintonował: „wieczne odpocznienie racz mu dać Panie!“ — zatem w półtora sta głosów prześpiewano to polecenie Wołodkowicza duszy, którego potem przez całe swe życie książę zapomnieć nie mógł.

Odprawiwszy myśliwstwo, rzekł książę do Bielewicza i Surwinta:

— Poczciwi ludzie widać jesteście, bo przywiązani do swego pana, macie więc u mnie służbę; jeżeli zgoda, to za mną do Nieświeża, poczem obaczymy, kto do czego zdatny.

Uszczęśliwieni, uścisnęli obaj kolana księcia i w trop za nim ruszyli.

Tak skończył się niedoszły do skutku głośny napad na trybunał w Mińsku. Było to awanturnicze co prawda wystąpienie księcia Panie Kochanku, ale bądź co bądź wypadek ten znamionuje wylane dla przyjaźni serce młodziana, zawsze pełne szlachetnych uczuć, którem książę okraszał zbytnią niekiedy popędliwość i gwałtowność charakteru.

ROZDZIAŁ II.

Zgon księcia Rybeńku. Wpław bryczką przez rzekę. Hulanki. Porwanie panny. Walka księcia wojewody z Czartoryskimi. Druga żona. Nowy król. Kurtka postrzelana i złota kula. Radziwiłł na obczyźnie. Powrót do kraju.

Książę Karol, którego w zapędach młodości nic nie hamowało, bawił się dalej z przyjaciółmi w swoim mirskim zamku, kiedy w maju r. 1762 umiera niespodzianie jeszcze niezbyt stary, poczciwy i spokojny wielki hetman litewski, książę „Rybeńku", jego ojciec zostawiając 28-letniego syna na czele domu całego, opiekunem macochy młodej i nieletniego rodzeństwa, a głównie zrodzonego z niej księcia Hieronima. *)

Po opłakaniu ojca i przejściu grubej żałoby zamek nieświeski zawrzał nowem życiem. Krew w młodym jego panu kipiała, w całym świecie było mu ciasno, a że go otaczała albańska młodzież, w której także bujne życie grało, działy się czasem rzeczy, których potem szczerze żałował i nieraz się nagryzł sam, gdy go szał minął.

Raz, wracając z polowania na niedźwiedzie, wszyscy w wesołem usposobieniu śpiewali hucznie:

„Zając sobie siedzi pod miedzą,
Myśliwi o nim nie wiedzą" i t. d.

Jechali bryczkami, bo konie wierzchowe shasane

---

*) Współcześnie niemal z synem swoim Karolem ożenił się stary hetman powtórnie z młodą kobietą, Anną Mycielską, wdową po dalekim krewnym.

były. Wtem pierwsza, co szła przodem, w której książę siedział z jednym z albańczyków, stanęła. Było to nad rzeką Niemnem. Prom stał z drugiej strony, a przewoźnik położywszy się gdzieś w krzakach, usnął. Nuż hukać, nuż strzelać i wołać: bywaj! Przewoźnik pijany był czy głuchy, promu jak niema tak niema. Książę począł kląć. Wtem krzyknie nagle do woźnicy:

— Ściągnij lejce i wpław!

Chwilę namyślał się woźnica, aż tu książę palnąwszy go w kark, zawołał:

— Wpław! słyszysz!...

Brzeg był dosyć wysoki, rzeka szeroka, głębina ogromna, ale gdy książę kazał, nie było żartów. Nie wiele myśląc, przeżegnał się woźnica, ściągnął lejce, batem dał po koniach i ru! w wodę. Bryczka, skórą wybita, spłynęła, konie też płynąć poczęły, ale, że silne były i rwały okrutnie, przybyli szczęśliwie do brzegu. Druga bryczka też przeszła, trzecia się wywróciła; szczęściem ludzie pływać umieli i choć konie woda uniosła, szczęśliwie się uratowali. Reszta u brzegu na prom doczekała, ale wprzódy, nim go posłano, przewoźnik za niedbalstwo bizuny dostał, ledwie się ze snu gorzałczanego porwawszy.

Mieszkał podówczas w Słuczczyźnie szlachcic niemajętny, ale niegdyś bardzo zamożnego rodu, powagi wielkiej, nazwiskiem Wojzbun Michał, a tytuł nosił Wojskiego. *) Wiosczynę miał jednę, zwała się Rabka Czerwona. Z drugiej żony swojej, Łaskiej, z domu niegdyś senatorskiego, miał córkę jedynaczkę, Felicyę. Stary Wojzbun sam ją prawie na ręku wykołysał. I wyszło to na prawdziwe cudo piękności, a po Wojzbunach i Łaskich wzięło duszę i hardość; śmiałe było, bu-

*) Wojski miał obowiązek czuwania nad żonami i dziećmi tych, którzy na wojnę wyciągali.

tne, coś rycerskiego miała w sobie. Była też rozumu nielada.

Młodziuchną była jeszcze, a już miała narzeczonego, niejakieko Tomka Dulębę, którego ojciec znaczne dobra w okolicy odziedziczył. Kochali się bardzo i niecierpliwie oczekiwali, żeby rodzice na ślub pozwolili. Zwlekano jednak z tem wedle starego szlacheckiego zwyczaju, żeby konia do 7-go roku nie brać w uprząż, a chłopca przed 30-tym nie żenić. Stary Dulęba kazał mu wojskowo służyć w kawaleryi, gdzie został podchorążym.

Zazdroszczono chłopcu tak pięknej narzeczonej, chociaż szczęścia tego był on wart pod każdym względem. Tymczasem ludzie panną wojszczanką oczy paśli. Biegła do niej młodzież, jak do cudownego obrazu. Wojzbunówna śmiała się ze wszystkich wielbicieli.

Sława jej piękności poszła szeroko. Dworacy nabili nią niepotrzebnie młodemu księciu Radziwiłłowi uszy i podjudzali go, że piękniejszej nie widział i ciekawość w nim rozbudzili do najwyższego stopnia. A zajątrzali go i tem, że tam już dla nikogo innego przystępu nie było, prócz szczęśliwego Dulęby, a o starym Wojzbunie prawili, że opryskliwy jest, nieprzystępny i do domu swojego nie rad obcych wpuszcza. Uwzięli się, żeby księcia miecznika do niecierpliwości, do wzięcia na kieł, doprowadzić.

Książę przebrawszy się, niepostrzeżony, zobaczył ją raz i zachwycił się cały jej piękną postawą. Przez usłużnych swoich dworzan zdołał się z nią widzieć na balu u innego, umówionego już obywatela, Zabiełły. Książę był bardzo uszczęśliwiony z tego względu, wesoły i jawnie to okazywał, bo nie było na świecie człowieka, coby jak on twarzą prawdę mówił. Co miał w duszy, wszystko nosił na wierzchu. Wino się lało, kapela grała marsza Sobieskiego, a była to muzyka, od której kipiątek w żyłach płynie.

Lecz na owym balu młody, wspaniałej postawy książę ubrany w kontusz, na którym błyszczały guzy

i spinki brylantowe, przy drogocennej szabli u boku, doznał zupełnego niepowodzenia. Panna, śliczna Felisia, odtrąciła hardo jego zaloty i prawie z nim mówić nie chciała.

Podrażniony do najwyższego stopnia w swej dumie, młody książę zaprosił się potem sam ze swą drużyną do domu Wojzbuna. Ten przyjął go niezmiernie zimno i odstręczająco; córce zabronił się pokazywać. Nastąpił spór i kłótnia gościa z gospodarzem, który wreszcie kazał księciu opuścić progi swego domu. Na to książę oświadczył, że choć gwałtem będzie miał jego córkę i wyszedł z pogróżkami.

Gdy potem Wojzbun dał się słyszeć, że skoroby się odważył próg jego przestąpić, to jak psu w łeb mu strzeli, szalony książę postanowił gwałt spełnić, tem więcej, że dworzanie poczęli szydzić zeń i trochę podburzać.

Pewnego wieczoru, po polowaniu, urządził książę najazd zbrojny i otoczył swoimi dwór Wojzbuna. Najpierw jednak sam wszedł do dworu i zażądał oddania mu córki. Wojzbun wyszedł ku niemu z nabitą bronią i pogroził strzałem, na to drużyna książęca wpadła do dworu z dobytemi szablami. Bronił się, jak mógł nieszczęśliwy ojciec, zawiązała się bitwa dworskich ludzi z napastnikami, powalono poranionego Wojzbuna, a wśród zgiełku i strzałów porwano pannę Felicyę i uwieziono na koniu. Wśród boju zapalił się dwór i budynki zgorzały do szczętu.

Książę kazał Wojzbunównę zawieźć na jeden z folwarków radziwiłłowskich. Tam potężny wielbiciel otoczył ją wszelkiemi wygodami, przeznaczył jej garderobianę, nadskakiwał i o przychylność prosił — daremnie. Przez tydzień cały nie ruszał się książę z folwarku; wreszcie, gdy wyjechał zajrzeć na opustoszały zamek nieświeski i ósmego dnia znów wrócił na folwark, panny Felisi nie zastał. Uciekła! — choć dom cały był obstawioy dokoła, przy drzwiach i oknach dzień i noc stały straże, a nikt oprócz garderobianej i księcia do

niej nie chodził. W alkierzu, przy pokoju, okno było wyjęte, a ci co pilnowali, leżeli pod niem pijani, tak, że ich pobudzić nie było podobna.

Później się okazało, że narzeczony panny, Dulęba, nie mogąc jej ratować siłą, pracował różnymi sposobami, dopóki jej nie uwolnił. Wysłana za niemi pogoń nic nie wskórała. Pannę szczęśliwie odwieziono do Wilna wraz z ojcem, który chorował po porąbaniu.

Książę zakochany naprawdę we Felicyi, mocno cierpiał i gryzł się w milczeniu. — Wszyscy myśleli, że teraz przecie proces kryminalny mu wytoczą i skażą go na wieżę i infamię, to jest pozbawienie czci. Upływały w tem oczekiwaniu miesiące. Książę za Wojzbunówną jeszcze szalał, jej i ojca żal mu było, na sumieniu był niespokojny, że nie mógł się ukoić i krzywdy im wyrządzonej sobie przebaczyć. Chciał koniecznie złe naprawić, tem więcej, że Wojzbun stary, z ran się wyleczywszy, gdy go adwokaci namawiali na rozpoczęcie sprawy, odpowiedział:

— „Nie do sprawiedliwości ludzkiej, ale do Boskiej się uciekam. Nie pozwę Radziwiłła przed trybunał inny, tylko na sąd ostateczny, przed tego Sędziego, co wszystkich nas sądzić będzie na Józefata Dolinie. Po co mam pozywać? Ludzie go bronią, łba mu nie zetną, a córki mej wstydu, moich utrapień i krwi wylanej, nie nagrodzi niczem — na toby całej Radziwiłłowszyzny nie stało. Nie żądam od niego nic. Bóg mię pomści. Nie poszanował mojego dziecka, nie będzie miał dzieci... umrze bezpotomnym!...“

Książę te słowa, które mu powtórzono, mocno wziął do serca.

Najprzód przez swego plenipotenta posłał Wojzbunowi do Wilna, ze słowami przeproszenia szczerego, jako odszkodowanie, pięć tysięcy dukatów, lecz je starzec ze wzgardą odrzucił. Potem ponownie wyprawił swego dworzanina z piętnastu tysiącami czerwonych złotych, byleby z Wojzbunem polubownie skończyć. Dworzanin przytem zapewniał ojca Felisi w imieiu księ-

cia, iż oprócz tego, że ją gwałtem porwano i na ludzkie języki narażono, nie miała księciu nic do wyrzucenia, bo ją szanował. Nic to nie pomogło; stary wojski posłowi kazał wyjść za drzwi.

— Ja nie przebaczam — i księcia na sąd Boży pozywam.

Wiedziano o tem, że Dulęba chciał się z panną żenić i na kolanach ją błagał, aby go nie odpychała, ale Wojzbunówna odpowiedziała mu stanowczo, i raz na zawsze, iż do niczyjego domu sromu swego wnieść nie chce i nigdy nie pójdzie za nikogo, a suknię ciemną, żałobną do zgonu nosić będzie. Dodała jeszcze te słowa: „Przez całe życie ludzie przypominaliby dzieciom naszym, że ich matka porwaną przez dzikiego magnata była i przez tydzień w jego mocy zostawała“.

Książę z początku jeszcze nie brał tak do serca przekleństwa starca na bezdzietność, później jednak gryzł się bardzo, że ani jeść ani spać nie mógł.

Żeby dokończyć tego przykrego ustępu z życia księcia Karola, nadmienimy jeszcze, że po nieszczęśliwem pożyciu z pierwszą żoną, w latach następnych często wzdychał i powtarzał przed poufałymi, mówiąc o Felusi: „Niema dla mnie, nie było i nie będzie kobiety, jak ta jedna. W sercu mi się tak zapisała, że jej zapomnieć nie mogę“.

Z czasem wojski z córką powrócił na wieś do odbudowanej Rabki Czerwonej, gdzie żyli prawie samotnie. Żeby do kościoła nie potrzebował jeździć, stary Wojzbun, który już ledwie włóczył się o kiju, umyślnie za dworem małą kapliczkę w brzezinie pobudować kazał.

Książę odwiedził ich samowtór z dworzaninem, jako skruszony względem nich pokutnik i prosił o przebaczenie, choć ta cnota była nie radziwiłłowska, przytem oświadczył się ponownie o rękę panny.

— Bóg mi świadek, panie kochanku — zawołał — mówię szczerze. Obraz waćpanny pokoju mi nie daje,

ściga mię ciągle, w sumieniu go noszę... kocham pannę Felicyę...

Ale wojszczanka, blada, pomizerniała i smutna na pięknem zawsze obliczu, ubrana w suknię jakby zakonną, z paciorkami u pasa, gniewnem okiem nań rzuciła i odparła dumnie:

— Jabym miała księciu rękę oddać — nigdy! Zamiast poszanowania i miłości, odpłaciłabym mu wzgardą. Nie, nigdy! mości książę... dawniej może, dziś zapóźno!...

Gdy chciała wyjść z pokoju z ojcem, książę jak struty zaklinał ją i ojca, by mieli nad nim litość i przynajmniej mu przebaczyli.

— O przebaczenie prosi Radziwiłł — dodał błagającym głosem.

Wojzbunówna odwróciwszy się, rzekła:

— Mości książę, tutaj nie do nas, ale do Pana Boga iść trzeba o przebaczenie. Niech ci Bóg przebaczy, ja nie mogę...

Poczem wyszła, drżąca, prowadząc z sobą ojca, do drugiego pokoju.

Książę stał chwilę jak skamieniały. Zgryziony mocno, opuścił dworek Rabki Czerwonej — na zawsze!...

Tymczasem zaszły wypadki, które myśl księcia Karola Radziwiłła w inną zwróciły stronę. Wtedy to bowiem, pod koniec opłakanych rządów Augusta III., światli panowie Czartoryscy ze swymi przyjaciołmi usiłowali wyjednać prawa: aby królowie nie byli, jak dotąd, hurmem wybierani przez zebraną szlachtę, ale by syn po ojcu lub ktoś z rodziny króla wstępował po nim na tron, władza króla miała też być podniesioną; aby ustanowiono stałe, liczne wojsko dla obrony kraju, bo dotąd, prócz szczupłych chorągwi hetmańskich, cała siła zbrojna polegała na pospolitem ruszeniu szlachty, która nigdy prawie w przydłuższej wojnie nie wytrwała. Dalej, żeby nie było wolno nadal jednym

głosem sejmów zrywać, — wreszcie zamierzali poprawić sądy i dać lepszy rozkład podatków na wszystkie stany. Myśleli też o podniesieniu oświaty w narodzie i polepszeniu doli ludu.

Naprzeciw Czartoryskim, chcącym z gruntu wytępić zarodek złego, stanęło drugie stronnictwo z Janem Klemensem Branickim, kasztelanem krakowskim i wielkim hetmanem koronnym, na czele i dlatego zwane hetmańskiem. Zamiarem tego stronnictwa było utrzymać Rzeczpospolitę, zachowując dawne swobody i przywileje stanu rycerskiego, a usunąwszy jedynie wszelkie nadużycia, których się bardzo wiele namnożyło, przywrócić Polsce znaczenie w Europie na dawnych podstawach.

Obadwa stronnictwa, jak widzimy, czuły potrzebę naprawy rządu, pragnęły zbawienia ojczyzny, ale zawiść rodowa rozrywała je w dwa nieprzyjacielskie obozy, grożące sobie nieustannie a napełniające kraj ciągłą wrzawą domowych niesnasek. Oba stronnictwa, straciwszy nadzieję podźwignięcia kraju własnemi siłami, oglądały się na pomoc obcą. Stronnictwo hetmańskie liczyło na pomoc dalekiej Francyi, niepewnej Austryi i niedołężnej Turcyi; Czartoryscy obiecywali sobie przeprowadzić swoje plany z pomocą Moskwy. To poleganie i ufność w pomoc Moskwy były wielkim błędem Czartoryskich, większość narodu jednak tak była wówczas zaślepiona, że z tej strony właśnie spodziewała się pomocy, z której największe groziło narodowi niebezpieczeństwo.

Książę Radziwiłł Panie Kochanku był także przeciwny wszelkim zamachom na starą wolność szlachecką i innym nowościom, obawiał się, że przez stałe wojsko z poboru królowie do zbytniej przyjdą władzy, nie godził się też na pomoc rosyjską, którą się posługiwała partya Czartoryskich.

W owych czasach stanowisko tak wielkiego pana jak nasz Radziwiłł na Litwie, mogło wiele zaważyć dla przyszłych losów Polski, gdyby ten dziedzic, rozpo-

rządzający po ojcu ogromnymi środkami, zwiększonymi spadkiem Kojdanowa po śp. stryju chorążym, zrozumiał był należycie, że właśnie należało mu przyłączyć się szczerze do poprawy rządu, do reform, nad którémi pracowali Czartoryscy.

Zanim wystąpił czynnie pzeciwko planom Czartoryskich, starał się książę Karol Radziwiłł o hetmaństwo, o godność senatorską po ojcu, o urząd wojewody wileńskiego. Na najbliższym sejmie warszawskim otrzymał wprawdzie urząd wojewody, na który zjechał jako poseł inflancki, hetmaństwa jednak nie otrzymał — dostał je książę Sapieha, a hetmaństwo wielkie na Litwie otrzymał książę Massalski, główny wróg Radziwiłła.

W ciągu tego czasu przyszło do utworzenia nowego trybunału w Wilnie. Jak zawsze, tak więcej jeszcze teraz zależało obu stronom, aby spowodować skład sędziów po swej myśli.

Ostatni trybunał litewski był zupełnie w ręku Czartoryskich, a przeciwnicy uczuli cały ciężar ich przewagi.

Karol Radziwiłł, wówczas miecznik litewski, a teraz wojewoda wileński, był najsrożej tknięty losem Wołodkowicza, którego trybunał ten skazał na śmierć dość porywczo, użył więc teraz całej forsy, jaką tylko przemożny ród jego na Litwie mógł rozwinąć, aby złożyć trybunał z samych przeciwników stronnictwa Czartoryskich. Nie obyło się to bez rozmaitych gwałtów, popełnianych wtedy zwykle w przedsięwzięciach tego rodzaju. Wojewoda opanował przemocą miejsce, gdzie zwyczajnie zaprzysięgano deputatów, rozpędził przeciwników i tak utrzymał gwałtem swój trybunał, odpłacając się sowicie za wszystko, co strona przeciwna, władająca trybunałem poprzednim, na szkodę jego klientów zdziałała.

Widząc, że na Litwie nie da rady Radziwiłłowi, który jej ze swoimi przeszkadza, wezwała partya Czartoryskich wojskowej pomocy Rosyi, nie przewi-

dując, jakie to smutne następstwa wywoła i utoruje drogę do dalszych wkroczeń. Wszedł więc jenerał Sołtyków z ośmiotysiącznym korpusem wojska w granice Litwy, a ciągnąc ku Wilnu, niszczył po drodze radziwiłłowskie majątki.

Książę Radziwiłł dotknięty tem do żywego, ruszył z Nieświeża, by strzedz osobiście utworzonego swym wpływem trybunału litewskiego, przecież wskutek różnych wpływów, a głównie za staraniem wielkiego hetmana koronnego, Jana Branickiego, wojsko rosyjskie się cofnęło. Książę Panie Kochanku był tedy ostatecznie na Litwie górą.

Zadowolony ze zwycięstwa, bawił się w Ołyce z przyjaciółmi i żartował ze swym kapelanem. Aby zaś więcej wzmocnić stanowisko i znaczenie swoje w kraju, pojął za żonę córkę jednego z filarów swego stronnictwa, Wacława Rzewuskiego, wojewody podolskiego, hetmana polnego koronnego, Teresę. Niedługo jednak trwało domowe szczęście, jeżeli bowiem książę Karol w pożyciu małżeńskiem zbyt łatwym nie był, to młoda jego żona mniej stokroć od niego była warta.

Pobici na Litwie, chcieli Czartoryscy w Piotrkowie przynajmniej ustanowić trybunał po swej myśli. Tu strony przeciwne zbrojną już ręką chciały przyjść do objęcia godności sędziów i byłaby z tego z pewnością wybuchła wojna domowa, gdy w chwili największego wzburzenia umysłów nadeszła wiadomość o śmierci króla Augusta III, który tknięty apopleksyą, zakończył życie w Dreznie 4 października 1763 r. Śmierć jego powstrzymała zuchwałe zapędy wielu. Nastało bezkrólewie, a z niem ważna chwila wyboru nowego króla.

Stronnictwo hetmańskie, do którego zaliczał się także Karol Radziwiłł, popierało wybór królewicza saskiego, Czartoryscy godzili się na wybór spokrewnionego z nimi przez matkę, młodego i wykształconego

stolnika*) litewskiego, Stanisława Poniatowskiego, którym się nagle zaopiekowała potężna cesarzowa rosyjska, Katarzyna II.

Nie spóźniła się Katarzyna z pomocą i już w kwietniu 1764 roku wkroczyło 40 000 wojska rosyjskiego pod pozorem utrzymania porządku i ubezpieczenia dobra powszechnego, praw i swobód Rzeczypospolitej.

Arcybiskup gnieźnieński, Władysław Łubieński, rządząc jako prymas kraju podczas bezkrólewia, nakazał na sejmikach powiatowych wybrać posłów do sejmu konwokacyjnego.*) Czartoryscy wszystkimi sposobami starali się na tych sejmikach przeprowadzić posłów, przychylnych sobie, aby mieć większość na sejmie i ich głosami swego kandydata przeprowadzić. Silnej pomocy tak w pieniądzach jak w wojsku dodawała im carowa Katarzyna, aby przeprowadzić wybór ulubieńca swego, w nadzieli, że nim łatwo będzie mogła rządzić. Zbliżył się termin sejmu konwokacyjnego, mającego radzić o przyszłym królu. Zjechali się do Warszawy panowie polscy, przyprowadzając wojska, ile kto mógł; Moskale również opasali Warszawę.

Czartoryscy, przysposobiwszy już wszystko, za-

---

*) Stolnik tyle co dziś szambelan, urzędnik królewski, którego obowiązkiem służyć królowi przy obiadach, przyjęciach itp.

*) Jak dzisiaj posyłamy deputowanych na sejmy, radzące nad dobrem i pożytkiem państwa i poddanych, tak sejmy odbywały się od dawna w Polsce. Sejmy te różnie się nazywały, podług tego, jakie miały zadanie do wykonania. Konwokacyjnym (od łacińskiego słowa convocare, które znaczy zwoływać) nazywał się sejm, który miał się naradzić nad oborem przyszłego króla jakim ma być król, jakie prawa i obowiązki ma zaprzysiądz, tak zwane po łacinie pakta konwenta, ułożone stósownie do potrzeb czasu, na kiedy naznaczyć termin wyboru nowego króla, czyli sejm elekcyjny, tak nazwany od łacińskiego słowa eligere, co znaczy wybierać.

pewnili swemu stronnictwu zupełną przewagę w sejmie. Radziwiłł z hetmanem Branickim, widząc przewagę przeciwników, postanowili sejm zerwać, opuścić Warszawę, aby później na nowo wystąpić. Zaledwie też sejm otworzono, kilku posłów ze stronnictwa hetmańskiego a z nimi marszałek ostatniego sejmu Adam Małachowski, który miał podług zwyczaju otworzyć ten nowy sejm, krzyknąwszy: niema zgody na zagajenie sejmu, póki wojska rosyjskie otaczać nas nie przestaną! opuścili salę.

Podług dawnego zwyczaju, sejm w samej rzeczy był zerwany, jednakże pozostała większość nie zważała na to i obrawszy marszałkiem księcia Adama Czartoryskiego, związała się w konfederacyę.*) W ten sposób stronnictwo Czartoryskich stało się panami sejmu konwokacyjnego.

Nazajutrz partya hetmańska, założywszy protest przeciw tak nieprawnemu postępowaniu, ustąpiła z Warszawy.

Sama w sobie była ta partya bardzo silna. Należeli do niej przemożni panowie: Rdziwiłłowie, Potoccy, Rzewuscy, Lubomirscy, a sam książę Karol miał liczne z sobą zastępy zbrojnej milicyi, brakło jej tylko światłej i dzielnej głowy.

Zanim się zbliżył sejm elekcyjny, partya hetmańska postanowiła próbować wojennego szczęścia, aby przeszkodzić wyborowi króla, niemiłego sobie. Ale ponieważ i tu zgody nie było, daremne były wszystkie przedsiewzięcia.

Hetman Branicki, targany podjazdami Rosyan i konfederatów, cofał się na Lublin, Sambor i Duklę, aż w końcu nie widząc, aby inni stronnicy jego w pomoc spieszyli, ustąpił do Węgier, skąd wkrótce, straciwszy

---

*) Konfederacya czyli związek szlachty tem się różniła od sejmu zwyczajnego, że do niej nie wybierano, ale każdy przystępował z własnej woli i na jej naradach stanowiono większością głosów.

wszelką nadzieję, przysłał rozkaz Zarębie, dowodzącemu pozostałą resztą wojska, żeby broń złożył. Salezy Potocki i inni panowie, obawiając się spustoszenia dóbr swoich, zaniechali wcześnie dalszego oporu.

Książę Panie Kochanku walcząc, jak mu się zdawało, za zagrożoną wolność szlachty i kraju, z Warszawy ruszył naprzód do Białej ze swem przybocznem wojskiem, sputoszywszy po drodze Terespól, należący do Fleminga, szwagra Czartoryskich.

Tymczasem przeciwnicy, związani w konfederacyę, oskarżyli księcia o różne wybryki i gwałty dokonane i z pomocą korpusu rosyjskiego uwinęli się tak szybko, iż w czerwcu zajęli Nieśwież obronny, po tygodniu bronienia się, a następnie i Słuck, któremu książę posłał był posiłki, ten sam los spotkał.

Na wiadomość o tych tak dotkliwych stratach ruszył młody wojewoda na zdobywców ordynackich twierdz. Napadnięty od wojska rosyjskiego, stoczył z niem bitwę pod miastem Słoninem, nad rzeką Szczarą. Bitwa trwała ośm godzin, a brała też w niej udział odważna siostra, nie odstępująca go do tej chwili, księżniczka Teofila.*) Nazajutrz, gdy wosjko rosyjskie mocnymi posiłkami powiększyło się, książę straciwszy magazyny prochowe i tamowany w dalszym pochodzie, udał się przez Polesie do dóbr swoich wołyńskich. W drodze znowu nagabnięty nad rzeką Prypecią, dał nieprzyjacielowi odpór i stanął w mieście swojem Ołyce.

Tu chciał oczekiwać dalszych wypadków; ale gdy się dowiedział, że dwie silne kolumny wojska rosyjskiego z Litwy i od Warszawy ciągną ku Ołyce, a nadto ostrzeżony o trzeciej kolumnie Ksawerego Branickiego, starosty halickiego, która także dążyła naprze-

---

*) W liczbie walczących pod Słoninem odznaczył się męstwem ubogi, nieznany młodzieniec, Ignacy Morawski. Jego odwaga tak się podobała rycerskiej dziewicy, że w ośm dni po bitwie bogata księżniczka oddała swą rękę biednemu szlachcicowi.

ciw niemu, musiał książę unosić bezpieczeństwo własnej osoby. Piechota jego z artyleryą i armatami wyciągnęła za nim, załogę tylko postawił w Ołyce. W tym pochodzie zaszła bitwa pod Sawińcami, blizko rzeki Dniestru.

Dowodzącemu na koniu księciu wojewodzie przeszyły kurtkę kilkakrotnie wystrzały karabinowe, a kula armatnia padła o kilka kroków od niego, potem podniosła się i znowu padła przy jego nogach. Kulę tę, ważącą 12 funtów, kazał książę podnieść, a potem takowej wagi ze szczerego złota odlać i ofiarował ją Najświętszej Pannie Boruńskiej, gdzie ją zawieszono przed Jej obrazem.

Zewsząd naciskany przemożnemi siły, na czele pięciuset jazdy rzucił się książę w odmęt Dniestru, przepłynął go i dalej przez Podole i Mohylew przedarł się na gościnną ziemię turecką. Stanąwszy w mieście Jassach, stolicy mołdawskiej, zwrócił się także ku Węgrom.

Tak zostały usunięte wszelkie przeszkody. Przeciwnicy pokonani, powyganiani lub pojmani, wojska ich rozproszone, nic więc dziwnego, że gdy do wyboru należała głównie partya i stronnicy książąt Czartoryskich, w dniu 7 września r. 1764 na polach wolskich pod Warszawą królem obrany został Stanisław August Poniatowski.

Nowy król, człowiek światły, był pełen najlepszych chęci wydobycia ojczyzny z upadku, ale słabego charakteru nie miał odwagi i silnej woli, aby nie ustąpić przed raz obmyślanym zamiarem i koniecznie tego dokazać, co sobie raz postanowił. Przytem Stanisław Poniatowski nie był żołnierzem, lękał się wojny, a tu na ciężkie czasy, jakie nastawały wobec chciwych sąsiadów, trzeba było króla-bohatera! Na uniewinnienie króla nie zapomnijmy znów, że gdy już raz został nim obrany i nie zdołano temu przeszkodzić, to należało, silnie stanąwszy przy królu, pomagać mu wszelkiemi siłami do otrząśnięcia się z pod wpływów Moskwy, nie

zaś przeciwko niemu wojować, a tu książę Karol Radziwiłł i inni panowie pracowali jeszcze nad tem, aby nienawistnego sobie „pana stolnika“ zrzucić z tronu. Pan Franciszek miał sam ślinkę na tron a książę Radziwiłł pragnął widzieć na nim królewicza saskiego.

Radziwiłł, który zacięcie na ten wybór się nie godził wraz z potężnym panem na Ukrainie, Franciszkiem Salezym Potockim, nazywał Poniatowskiego „ekonomczukiem“, dorobkiewiczem szlacheckim, że miał herb swój od niedawna istniejący.

Dumny, nieugięty z natury nasz Panie Kochanku, znalazł się niebawem w mieście Preszowie na Węgrzech, skąd robił starania u monarchów austryackiego w Wiedniu i francuskiego w Paryżu, a też saskiego w Dreźnie, by dopomogli do zrzucenia z tronu nie przez cały kraj wybranego Poniatowskiego. Ale starania te szły oporem. Zbywano go słodkiemi słówkami; nawet han tatarski i sułtan turecki choć przyrzekali, pomocy żadnej dać mu nie mogli. A szło księciu o tę pomoc tem więcej, że konfederacya litewska, uznawszy go za nieprzyjaciela ojczyzny, odjęła mu w grudniu roku 1764 godność senatorską wojewody wileńskiego, którą teraz otrzymał Ogiński, a majątkami miał rząd zarządzać; opieka nad przyrodnim jego bratem Hieronimem, małoletnim, także odjętą mu została. — Przeciwko temu wszystkiemu występował i skarżył się książę w listach do obcych dworów królewskich i prosił o pomoc.

W tej dobrowolnej niedoli wygnańczej nie miał tej pociechy, aby mu żona własna towarzyszyła. Przeciwnie Pani Teresa, lekkomyślna bardzo osoba, towarzyszyła mu zrazu po za rzekę Dniepr, ale w listopadzie roku 1764 odjechała nagle do kraju, pomimo przekładań męża, a nawet mężowi swojemu u króla szkodziła. Później w lipcu zjawia się znowu niespodziewanie w Preszowie u męża. Przyjazdem swoim narobiła mu wiele kłopotu i zaledwie po miesiącu zdołał ją wyprawić z

powrotem. W kilka lat znalazła się znowu we Wiedniu i tam giną też wieści o niej.

Tymczasem panowie i szlachta coraz więcej oświadczają uległość nowemu królowi, w Warszawie uznają go wszyscy, nawet były hetman Branicki i wreszcie sam Franciszek Salezy Potocki oświadczyli Poniatowskiemu swoje uznane. Tylko nasz książę wojewoda trzymał się jeszcze wytrwale na obczyźnie.

— Nie może to być — mawiał — aby pan stolnik miał się utrzymać na tronie, nie może być. Nadzieję mam jeszcze w miłosierdziu Bożem i ostrzu szabli. Niech mu tam, stolnikowi, łapy liżą, my czekajmy!

Gdy ci i owi z przyjaciół pisali do niego, żeby się zrzekł swego uporu i przesłał królowi na piśmie swe przyznanie i uległość, a będzie miał dobra przywrócone, choć bez godności wojewody wileńskiego, książę z zaciętością odrzucał dorady. Odpisał, że woli cierpieć, jako skrzywdzony wielce, a uznać króla nie może.

Już drugi rok upływał tego dobrowolnego wygnania, gdy pieniędzy na utrzymanie siebie i dworu poczeło mu dotkliwie brakować. Pisał do kraju, do możnych przyjaciół swoich, a choć je otrzymał, nie starczyło to na długo, bo książę Panie Kochanku przyzwyczajony do zbytków i tu na wygnaniu żył wspaniale. Gdyby go nie poratowała własna macocha, byłoby z nim bardzo krucho. Młoda jeszcze, bo zledwie 36 lat licząca księżna hetmanowa, Anna z Mycielskich, kobieta zacna, szlachetna, zawsze była wierna w przywiązaniu do pasierba i opiekuna jej dzieci. Książę Karol nazywał ją też bardziej matką, niż macochą swoją i radził się jej w swych układach z zagranicznymi dworami. Ona też, ile mogła, pomagała mu, aby z honorem do odzyskanych dóbr swoich i utraconych godności mógł powrócić.

Wystawiony na bolesne próby w swych nadziejach książę, dowiedział się wkrótce, że na obcych królów dwory i pomoc ich całkiem już liczyć nie może, gdyż właśnie dwory: austryacki, francuski i drezdeń-

ski uznawały stanowczo wybór króla Stanisława, a Turcya pobita przez Rosyę, jak mysz pod miotłą siedzieć musiała.

W tem położeniu, gdy książę niczego się nie mógł doczekać w Preszowie, gdy możni nieprzyjaciele jego w kraju nie dozwalali na udzielenie księciu ważniejszych ustępstw, a wielu pragnęło, aby na wieczne czasy został z kraju wygnany, zaświtała mu pomoc niespodziewana od Rosyi. Posłuchajmy, jak do tego przyszło.

Stanisław Poniatowski zrazu pod wpływem zacnych wujów swoich, książąt Czartoryskich, wiele dobrego zdziałał dla kraju, zdawało się, że Polska z upadku znów się podniesie. Nie podobało się to carowej Katarzynie, odstąpiła więc corychlej Czartoryskich i aby zniweczyć to wszystko dobre, co Polacy zrobili, postanowiła utworzyć stronnictwo, któreby się sprzeciwiło podjętej naprawie Rzeczypospolitej; widziała bowiem, że gdy w Polsce ład nastanie, to będzie tak potężna, że jej nie zwycięży, a swawolą zgubi się sama.

Było jeszcze dosyć w Polsce zaślepionych zwolenników dawnego nieładu i wielu takich, którym solą w oku było wyniesienie Stanisława Poniatowskiego na króla, więc nie trudno było Katarzynie stronnictwo takie wytworzyć. Aby zaś tem większe zamieszanie, rozdraźnienie i niezgodę w kraju wywołać, poczęła Katarzyna nadto na dobre ujmować się za innowiercami podburzając ich przeciw własnemu rządowi, lubo ci w katolickiej Polsce wcale tak źle nie mieli. Nie chodziło też Katarzynie w rzeczy samej o religię, lecz o siew niezgody, aby z tego ziarna zbierać owoce dla siebie Jednym i drugim przyobiecał poseł rosyjski Repnin, że znajdą pomoc u carowej, byleby się udali pod jej opiekę. Nakoniec z rozkazu Katarzyny obiecywał Repnin że carowa dopomoże nawet do zrzucenia z tronu Stanisława Poniatowskiego, aby tym sposobem wpłynąć znowu na króla, iżby się stał powolnym na żądania carowej, jeżeli się chce nadal utrzymać przy koronie.

I tak podzielono naród polski w chwili, kiedy naj-

większa zgoda była potrzebną, znów na nieprzyjacielskie obozy. Zaczęły się zawięzywać rozmaite konfederacye, jedne przeciw królowi, drugie przeciw innowiercom, inne za innowiercami, inne szukając wręcz pomocy carycy. Z pokrzyżowanych różnie niechęci powstałe związki miały niebawem pod opieką Rosyi zlać się w jeden związek ogólny, generalny.

W tym stanie rzeczy, jednając sobie stronników, dwór rosyjski zwrócił się także do bawiącego wtedy w Dreznie księcia Karola Radziwiłła, znanego już zdawna przedstawiciela swobód staroszlacheckich, a zarazem przeciwnika króla. Carowa przyrzekła mu wyjednać powrót do kraju i do dóbr zajętych mu przez rząd polski, byleby popierał żądane prawa dla innowierców i inne jej wymagania.

Nadzieja upokorzenia króla i Czartoryskich tak zaprzątnęła głowę księciu Karolowi, że nie widział już zgubnych skutków, jakie dla ojczyzny powstaćby mogły z tego wmieszania się carowej do spraw kraju. Dawniejszy wróg Rosyi, przyjął teraz książę Karol Radziwiłł wezwanie carowy, napisał do niej bardzo uległy list i po przeprowadzeniu układów wyjechał z Drezna 13 maja 1767 r. Pomny na ciążący na nim wyrok wygnania, udał się książę do Gdańska, skąd pod eskordą kozaków wszedł do kraju. Dnia 3 czerwca stanął w Wilnie, przyjmowany uroczyście przez swych zwolenników i lud pospolity. — Z Wilna, pełen dobrej myśli, ruszył Karol Radziwiłł do Białegostoku do starego hetmana Branickiego, aby z nim się naradzić co do dalszego działania. Ciągnąc tryumfem dalej, zawsze jakby pod strażą, w towarzystwie pułkownika rosyjskiego, staje Radziwiłł 13 czerwca w Radomiu, gdzie na ogólnym zjeździe wszystkie powstałe konfederacye postanowiły, za staraniem Repnina, zlać się w jednę wielką konfederacyę generalną tak zwaną Radomską. Marszałkiem czyli naczelnikiem tej konfederacyi dla przypodobania się szlachcie, a na upokorzenie króla i Czartory-

skich, wybrany został za wolą carowy nasz Panie Kochanku.

Karol Radziwiłł stał teraz u celu swych pragnień. Będąc marszałkiem silnej konfederacyi i przyjacielem carowy, myślał, że króla ma w swem ręku. Ale grubo się przeliczył. Król bowiem, widząc się w rozpaczliwem położeniu, aby rozbroić gniew carowej i utrzymać się nadal na tronie, na wyraźne jej żądanie, przystąpił także do konfederacyi, przez co stał się zwierzchnikiem księcia Karola.

Książę marszałek, oślepiony powodzeniem, że cała robota Czartoryskich poszła w niwecz, napisał też osobno do króla, oświadczając mu swą uległość i wierność, na co dopiero w miesiąc później Stanisław August łaskawie ale zimno odpowiedział.

Tymczasem nadzieje konfederatów srodze zostały zawiedzione. Zamiast dawnej wolności, Moskwa obsadziła Radom wojskiem; przed ratusz, w którym miały odbywać się obrady, wytoczono kilkanaście dział, wymierzonych wprost na salę radną. Pod groźbą dział i bagnetów musiała uznać konfederacya wymagania innowierców, zaprzysiądz wierność królowi i wyprawić poselstwo do Petersburga, z prośbą o dalszą opiekę carowej.

Teraz zażądał Repnin sejmu, któryby to wszystko potwierdził, bo bez sejmu uchwały te nie miały wagi. Sejm ten został otwarty 5 października 1767 r. w Warszawie. Książę Karol Radziwiłł został znów marszałkiem sejmu, który mu przywrócił nietylko cześć, godność wileńskiego wojewody, utracone dobra, lecz nadto zabezpieczył wypłatę 7,000,000 złp.

Radziwiłł zmuszony był prosić o posłuchanie u króla, którego nie lubił i w duszy zawsze nie uznawał. Oto rozmowa, jaką miał z królem:

— Ta sama ręka, mówił Radziwiłł, która cię ukoronowała i która ogłosiła mię nieprzyjacielem ojczyzny, dzisiaj mię tu sprowadza — tuszę, że w ten sposób zostanę przyjemnym Waszej Królewskiej Mości.

— Dom twój, książę, odrzekł król Stanisław Poniatowski, wierność dla królów miał zawsze za zasadę; ciebie samego widziałem poświęcającym się dla króla, mojego poprzednika, i tych samych uczuć od ciebie oczekuję.

— Król zeszły mię nie prześladował, powiedział sucho Radziwiłł.

— Będąc niegdyś równymi sobie obywatelami kraju, mówił król, byliśmy przyjaciołmi; pragnę, aby ta przyjaźń trwała nadal.

— Bogdajbym mógł wierzyć w szczerość tego oświadczenia, odrzekł książę Karol i po kilku chwilach milczenia oddalił się.

Rzeczywiście pozorne to i chwilowe było pojednanie się Radziwiłła z królem.

Coraz nowe wyszukując powody do mieszania się w sprawy polskie, wprowadza poseł rosyjski na sejmie drażliwą sprawę innowierców. Przeciw temu wystąpili zaraz otwarcie Kajetan Sołtyk, biskup krakowski, Józef Załuski biskup kijowski, Wacław Rzewuski, wojewoda krakowski, oraz najstarszy syn jego Seweryn.

Poseł carowej przewidując, że z nimi połączy się bardzo wielu takich, co tylko z niechęci dla króla dali się usidlić Moskwie i należeli do konfederacyi radomskiej, aby posłów nastraszyć, kazał tych najgorliwszych porwać nocą z domów i wywieźć w głąb Rosyi do Kaługi.

Padł teraz na posłów strach niewypowiedziany i gdy nie było już gorliwych, którzyby odważnie czoło stawili, zatwierdził sejm w dalszym ciągu wszystko, co chciała Moskwa. Przyznano żądane prawa innowiercom, pozostawiono wybieralność królów, wolność zrywania sejmów, a co najgorsza, oddano nad Polską dobrowolnie opiekę carowej.

Skończył się ten nieszczęsny sejm 5 marca 1768 r.

Krótkowidzący marszałek pocieszał się, że tem nowem wysokiem stanowiskiem upokorzył swych nieprzyjaciół. Zadowolony, że główne prawa „złotej wol-

ności“ zostały znów odzyskane, wyjechał na Litwę, do Białej, a potem do Nieświeża, po czteroletniej tułaczce na obczyźnie, rozglądając się wśród odzyskanych nakoniec zaszczytów i dóbr mocno nadszarpanych. Nie czując swego błędu, nie trawiony wstydem z upokorzeń, przez jakie świeżo był przeszedł, by dotrzeć do tego, co z własnej winy utracił, dobroduszny marszałek wojewoda używa znowu pełną piersią swobody, powtarzając za innymi: „jakoś to będzie.“

ROZDZIAŁ III.

Książę Karol Radziwiłł konfederatem barskim. Nowe tułactwo. Dukat radziwiłłowski i figiel księcia w Bawaryi. Zabiegi księcia i znów powrót do kraju.

Straszne bezprawia, jakich się Moskwa ustawicznie dopuszczała, mianowicie zaś ono gwałtowne porwanie senatorów, oburzyły naród do żywego. Prawi obywatele jeszcze podczas osławionego sejmu porozumiewać się poczęli, upatrując jedyną nadzieję w zbrojnem powstaniu. Gdzie niegdzie sprzysięgano się już z sobą tajemnie.

Bystry biskup kamieniecki, Adam Krasiński, widząc, że bez obcej pomocy nadzwyczaj trudno byłoby walczyć z wrogiem, umyślił wpierw pozyskać pomoc Francyi i Austryi, chciał pobudzić Turcyę, a nawet Szwecyę do wojny z Moskwą i równocześnie podnieść powstanie w kraju.

Nie wszyscy jednak zgadzali się na plan biskupa, rozciągający się może na długie lata, wielu było takich, którzy chcieli co żywo rozprawić się z Moskalami i z kraju ich wypędzić. Tem się stało, że kiedy jeszcze nie było należytego przygotowania, bez wiedzy i woli przezornego biskupa, zawiązali gorętsi Polacy już 29 lutego 1768 roku zbrojny związek czyli konfederacyę w Barze, warownem miasteczku podolskiem, blizko granicy tureckiej.

Konfederacya barska, zawiązana pod hasłem obrony religii katolickiej i wolności, chciała oswobodzić Polskę od wojsk moskiewskich, odzyskać dawne swobody i prawa. Biskup Krasiński, lubo nie pochwalał przedwczesnego ruchu, przystąpił teraz także do niej.

Konfederacya barska zyskała rychło miłość w narodzie. Za przykładem Baru zawięzywały się zaraz w różnych stronach kraju konfederacye, jużto łącząc się z barską, jużto działając na swoją rękę, ale zawsze w jednym celu: wypędzenia Moskwy.

Dla księcia Karola Radziwiłła hasła: niepodległość kraju, świętość wiary i odzyskanie dawnych swobód, były pociągającemi, to też całą duszą przywiązał się do konfederacyi. Nie baczył już teraz na to, że swem wystąpieniem obrazi carową rosyjską, której niedawno jeszcze obiecywał być uległym; szczera miłość ojczyzny wzięła górę nad osobistemi korzyściami.

Zrazu poczyna tajemnie pracować dla ruchu, dostarczając środków pieniężnych i ludzi, później coraz otwarciej występuje, a wreszcie, gdy stanęła także konfederacya litewska, książę na czele osobnego oddziału zbrojnego stacza walki z nieprzyjacielem, nie szczędząc ani mienia ani życia swego.

Nie zawsze konfederatom sprzyjało szczęście, a lubo pierwsze starcia dla nich wypadły szczęśliwie, nie mogli się oni mierzyć z nieprzyjacielem, który miał wojsko regularne, dobrze wyćwiczone, wiele armat i dużo pieniędzy. Z tem wszystkiem, mimo liczne niepowodzenia, nie upadał duch konfederatów.

Oddziały, choć niesilne, ale bardzo liczne, w różnych stronach kraju, na Litwie, w Wielkopolsce, w Małopolsce i na Rusi walczyły podjazdowo z Moskwą i dlatego nie tak łatwo przychodziło jej zgnieść odrazu konfederatów. Oddział w jednem miejscu pobity, pojawił się w innem daleko liczniejszy i slniejsyz, napadał znienacka na nieprzygotowanych Moskali i przyprawił ich nieraz o wielkie straty.

Konfederacya stłumiona w jednem miejscu, raźno podnosiła się w drugiem, zato starania o pomoc obcą słabo dopisały.

Austrya, nibyto przyjaźnie usposobiona, obiecała, że na przypadek wojny z Moskwą zachowa się neutralnie tj. że nie będzie pomagała ani tej ani tamtej stronie; elektor saski, któremu konfederaci robili nadzieję korony polskiej, skąpo tylko posiłkował; najczynniej jeszcze zajęła się losem konfederacyi Francya, nadsyłając pieniędzy i oficerów. Nareszcie udało się też nakłonić Turcyę, że wydała Moskwie wojnę w roku 1769.

Z tą chwilą losy konfederacyi znakomicie się poprawiły. Wielu znakomitych ludzi połączyło się z konfederatami, nawet sam król począł się przechylać na stronę konfederacyi. Niestety jak zawsze, z obawy przed Moskwą, nie czynił tego jawnie i stanowczo!

Swoją drogą konfederaci zamiast czynić wszystko możliwe, żeby króla pociągnąć za sobą, przeciw niemu się oświadczyli. Stanisław Poniatowski, widząc przeciw sobie ogromny zastęp szlachty, znów zbliżył się do Moskwy.

Wpływ i znaczenie konfederacyi znacznie się też osłabiło przez to, że główni jej kierownicy, którzy nazywali się radą jeneralną, nie czując się dosyć bezpiecznymi w kraju, obrali siedzibę w Cieszynie, a potem w Białej na Śląsku austryackim.

Gdyby rada jeneralna siedziała w kraju, byłoby powozenie zapewne świetniejszem, ale przebywając ciągle za granicą, wydawała nieraz sprzeczne z sobą rozkazy i niejeden popełniła błąd, który się nie dał na żaden sposób powetować. Namnożyło się też wielu marszałków, z których każdy działał na swoją rękę, niższy nie chciał słuchać wyższego i tak w samem łonie konfederacyi powstały bunty i niezgody. Wpływało to bardzo niekorzystnie na cały bieg sprawy. Nadto pokazywały się bandy rabusiów, którzy udawali konfederatów. Przyszło i tych ścigać konfederacyi i tłumić w zarodzie.

4*

Tymczasem nadzieje, jakie konfederacya pokładała w wojnie turecko-rosyjskiej, omyliły zupełnie. Wyprawa chocimska, rozpoczęta klęską Moskali, wzięła teraz pomyślny dla nich obrót; Turcy pobici cofali się na wszystkich punktach. Widzieli teraz konfederaci, iż tylko na własne siły liczyć należy.

Zbrojono się też teraz bardzo gorliwie i z wiosną 1770 roku konfederaci mieli kilkanaście tysięcy ludzi pod bronią. Wzmocniono zamki warowne w Tyńcu, Bobrku i Lanckoronie, zakupiono też dużo broni, aby rozpocząć działania wojenne w całej rozciągłości i kraj już raz od srogiego najezdnika uwolnić.

Barszczanie, napełniani otuchą szczęśliwego zakończenia wojny, niechętni Stanisławowi Poniatowskiemu, postanowili urzeczywistnić dawno już powziętą myśl i ogłosili bezkrólewie tj. że kraj nie uznaje króla za swego pana i rządzcę i może sobie nowego wybrać.

Książę Karol Radziwiłł nie cierpiał stale Stanisława Poniatowskiego, to też, znajdując się od dawna pod bokiem zarządu konfederacyi, przebywającego teraz w Preszowic, na Węgrzech, żarliwie nad tem pracował, aby króla usunąć.

Trzeci to już rok konfederacya barska walczyła ze stronnictwem królewskiem, a głównie z wojskiem rosyjskiem; konfederatom nie brakło męstwa, odwagi, a w wojowaniu partyzanckiem nabyli już dosyć biegłości. Najwięcej krzątał się Puławski, który zajął Częstochowę i trapił z niej nieustannie Moskali. Śmiałe wycieczki jego w dalekie nawet okolice, wieńczone były zawsze pomyślnym skutkiem, a generał rosyjski Suwarów, mimo przeważnych sił, nie mógł dotrzymać pola dzielnej garsce Puławskiego. Bobrek, Tyniec i Lanckorona, których obroną kierowali oficerowie francuscy, opierały się także dzielnie wojskom moskiewskim.

Zato innym dowódzcom konfederackim szczęście mniej sprzyjało, i choć walczyli mężnie, ostać się nie mogli; w Litwie już prawie z nikim Moskwa nie miała

do walczenia, już nawet w okolicach Warszawy nie pokazywali się powstańcy.

Nadzieja obcej pomocy zawiodła, a siły narodu osłabiały coraz bardziej klęski i niezgody wewnętrzne. Obywatele, walczący za ojczyznę, poczęli słabnąć na duchu. Siły konfederackie skupiły się wszystkie w Krakowskiem, i tu też niezadługo otrzyma konfederacya ostateczny, śmiertelny cios. Zanim opowiemy tę ostatnią chwilę, wspomnimy jeszcze o wypadku, który niemało się do tego przyczynił.

Już od dawna postanowili konfederaci, ponieważ król zezwalał na wszystko, czego Moskale zażądali, gwałtem go od rządów usunąć. W tym celu przedarło się około trzydziestu sprzysięgłych konfederatów do Warszawy i w dniu 3 listopada 1781 roku późno wieczorem, kiedy król wracał z odwiedzin u książąt Czartoryskich, zdołali go uprowadzić z miasta, poczem wziąwszy króla między siebie, galopem uciekali za wały.

Ciemność nocy i obawa pogoni rozproszyła spiskowych, tak że wreszcie król sam tylko z jednym konfederatem Kuźmą pozostał. Ujęty wymową króla, ofiarował się Kuźma ocalić go, jeżeli mu przebaczy.

Król mu to zapewnił, a nawet sowitą nagrodę przyrzekł, poczem obaj udali się do poblizkiego młyna, skąd ocalony król wysłał list do zamku o pomoc. Wnet przybył oddział gwardyi konnej i nad ranem wjechał król do Warszawy. Aby tem większy interes ku swojej osobie obudzić, opowiaał, że go konfederaci zabić usiłowali, choć to prawdą nie było.

Upadek konfederacyi zbliżał się teraz co rychlej, bo po kraju i w świecie rozgłosiło się, że konfederaci chcieli króla zamordować, i gdy dwory sąsiednie poczytały to za zamach królobójczy, rząd austryacki, dający zawsze jeszcze schronienie konfederacyi, zażądał od rady jeneralnej oświadczenia publicznego, że z konfederatami, którzy króla swego zabić chcieli, nic nie ma wspólnego. Stało się temu zadość. Król pruski wydał rozkaz,

aby przejeżdżających przez jego państwo konfederatów więzić i wydawać Moskalom. Francya usunęła także swą pomoc, wreszcie sam król nakazał teraz wojskom koronnym połączyć się z Moskalami i ścigać konfederatów.

Bronili się jeszcze konfederaci. Na krótki czas zdobyli Kraków, ale wnet go utracili. Na wiadomość o zajęciu Krakowa przez Moskali, wiele oddziałów w kraju same się poddały królowi lub Moskwie, inne rozproszyły się. Najdłużej trzymał się Kaźmierz Pułaski w Częstochowie (do 15 sierpnia 1772 r.)

Tym sposobem skończyła się konfederacya barska, pierwsze wysilenie nieszczęśliwego narodu w obronie niepodległości swojej. Tyle poświęcenia i ofiar dla ojczyzny poniesiono, tyle się krwi przelało, wszystko daremnie! Tysiące konfederatów przez Moskwę do więzień lub na Sybir zostało wygnanych. Wielu nędznie musiało się tułać po obcych krajach, z trudnością utrzymując się przy życiu.

Jeszcze Częstochowa się broniła, kiedy Austrya wymówiła swą gościnność konfederatom na Węgrzech i Śląsku; co więcej, już ta sama Austrya, Prusy i Rosya toczyły z sobą tajne układy, żeby choć częściowo na pierwszy raz ziemią polską się obdzielić.

Rada naczelna konfederacyi, podtenczas w Cieszynie, poszła skutkiem tego w rozsypkę; jeden tylko Radziwiłł bawi tam jeszcze, robi ofiary z dóbr swych i dochodów i wspiera ile może ostatne podrygi konfederatów. W starostwie swem człuchowskiem, w Prusach, odziedziczonem po macosze, zmarłej w r. 1771, daje schronienie niektórym rozbitkom rady jeneralnej i odwagi im dodaje.

Bogactwa Radziwiłła długi czas zaopatrywały potrzeby tak jego, jak i uboższych konfederatów za granicą, a gdy z dóbr zasekwestrowanych dochody już nie wpływały, żyje z łaski szlachty, w kraju na gruntach jego osiadłej, która pomimo opłat, jakie do skarbu uiszczać

była powinna, własny grosz posyłała za granicę ubóstwianemu przez się księciu wojewodzie, aby mu na niczem nie zbywało.

Tutaj przytoczymy zdarzenie, jakie zaszło z tak zwanym dukatem radziwiłłowskim. Miał go czasu tych mimowolnych wędrówek za granicą książę wojewoda i woził wraz z innymi klejnotami.

Potrzebując pewnego razu zaciągnąć pożyczkę, wezwał królewieckiego kupca Saturgusa do układu. Kupiec ten, czyli jakby dziś powiedziano bankier, twardy był do interesu. Przewidując, jaki być może koniec wojny, lubo znał ogromną fortunę wojewody, wzdragał się na niepewne pożyczyć większych pieniędzy. Książę nie mógł pojąć, ażeby dla niego, Radziwiłła, kredyt mógł być trudnym, rzekł więc zniecierpliwiony:

— Widzę, panie kochanku, że waszmość Radziwiłła masz już za bankruta; zatem mniejsza o to, zróbże mnie asan tylko jednę grzeczność.

— Co książę pan każe? — spytał Saturgus.

— Zmienisz mi waszmość, panie kochanku, dukata.

Milionowy kupiec uśmiechnął się nieco szyderczo, odrzekł wszelako z wielką uniżonością:

— U najmniejszego kupczyka może wasza książęca mość taką rzecz kazać załatwić.

— O, nie! jabym u waszmości, panie kochanku, chciał go zmienić.

— Jeśli taka wola waszej książęcej mości, odrzekł Saturgus, mogę to uczynić, i sięgnął po sakiewkę.

— Zaczekaj asan, rzekł książę, a odwracając się, zawołał: „przynieście no tu radziwiłłowskiego dukata".

Niebawem dwóch sążnistych hajduków wniosło płaską a okrągłą skrzynię, pąsowym kordybanem obitą. Otworzono. Leżał w niej na aksamicie dukat, do zwykłych holenderskich podobny, z tą tylko różnicą, że miał około dwóch stóp średnicy, a prawie półcalowej był grubości.

Na ten widok Saturgus osłupiał, stał z oczyma i u-

stami nawet otwartemi, sam nie wiedząc, co miał mówić. Dalejże więc w przeprosiny i tłomaczenia, zrobił się jak wosk miękki i już bez targów wszelkich kredyt wojewodzie otworzył.

Ponimo, że interesa księcia w coraz mniej świetnym były stanie, a trzy sąsiednie mocarstwa podział Polski już uskuteczniały, Radziwiłł łudził się jeszcze pomocą to Francyi to Turcyi, więc sam jeździł lub posłów wysyłał do różnych dworów, aby sprawę polską ratowano.

I tu mamy jeden pocieszny szczegół do opowiedzenia z czasu pobytu Radziwiłła w Bawaryi.

Elektor bawarski, pamiętając, że Radziwiłłowie otrzymali od cesarza niemieckiego (Karola V) tytuł na księstwo, równi są co do godności z książętami dziedzicznymi rzeszy niemieckiej, pragnął otoczyć Radziwiłła monarchiczną świtą, więc jego Polakom i Litwinom nadawał urzędy szambelanów, ochmistrzów i inne podobne. Lecz, aby je otrzymać, należało każdemu z nich udowodnić swe szlacheckie od wielu pokoleń pochodzenie.

Na to trzeba było mieć rodowe papiery, których przecież konfederaci z sobą nie zabrali! Ale zaradził temu płodny w dowcip Radziwiłł. Kazał im pod bokiem swoim pisać po łacinie swe niby starodawne świadectwa szlacheckie, zmyślane, a przed królem bawarskim udawał, że to były papiery pocztą z ojczyzny im nadsyłane. Miałeś tam wywody rodowe z Egiptu od Faraonów, od cesarzów rzymskich itp.

Pan Bawarski zatwierdzał szlachcie, towarzyszącej Radziwiłłowi, świetne, dworskie tytuły, a zachowane dotąd, jak twierdza, papiery odnośnie w tamecznem archiwum świadczą o figlu radziwiłłowskim.

Sejm podziałowy, pod przemocą zwołany do Warszawy, wezwał wychodźców i radę konfederacką do wolnego powrotu.

Radziwiłł, przeciwny stanowczo powrotowi, pisał do członków rady: „Któż może na taki sejm pojechać, gdzie szczęk broni będzie dyktował prawa? Przysięgli-

śmy do ostatniej kropli krwi bronić ojczyzny, jakże możemy własnemi zabijać ją rękami?“ Postanowił jeszcze wytrwać, a tymczasem trzy sąsiednie mocarstwa zajmowały już przypadłe im udziały ziemi polskiej. Wiele z dóbr księcia wojewody przechodziło pod panowanie pruskie, rosyjskie i austryackie. — Stracił wtedy Radziwiłł 80,000 osiadłych gospodarzy, swoich poddanych, na samej Białej Rusi.

Po sejmie podziałowym znowu pragnęli stronnicy nowego porządku rzeczy pozyskać dla swej sprawy takiego potentata, jak Radziwiłł. Uderzono do niego tedy za pośrednictwem dworu saskiego, z którym zawsze był Radziwiłł w życzliwych stosunkach.

Przyrzekano mu łaskę królewską, oraz wolny powrót do ojczyzny, byleby się chciał pojednać z królem i podpisał odstąpienie od konfederacyi barskiej.

To znowu do żywego oburzyło księcia wojewodę, bawiącego u wód leczniczych, tem więcej, że grożono wychodźcom zabraniem na skarb ich dóbr, gdyby niebawem temu zadość nie uczynili.

Garstka tylko nieprzejednanych została po za krajem, a z nimi i książę Karol, pragnący do ostatka dla miłości ojczyzny nieść z siebie ofiarę. Pisze też z Paryża, że przenosi dobro powszechne nad szczęśliwość swoją własną, a zatem chętnie obiera tułactwo, nędzę i całowieczne ubóstwo, jeśli Najwyższy Rządca szczęśliwszej nie sprawi przemiany.

W lutym roku 1774 książę przebywa we Włoszech, a mianowicie w pięknej, zbudowanej na wyspach wśród morza, Wenecyi. Tam czekając na skutek zabiegów swej krewnej, księżnej Tallmont we Francyi, a także na odpowiedź ze Stambułu, od sułtana, doznaje przychylnego przyjęcia u doży czyli panującego we Wenecyi i u innych znakomitych domów. Tam też odwiedza go siostra Teofila, która wyszła była, jak to się już powiedziało, za pułkownika Morawskiego, i tę wysyła do Rzymu w swej sprawie do kardynałów i do Ojca

świętego. Tu wreszcie zapoznaje się z księciem Aleksym Orłowem, magnatem rosyjskim.

Czy to za radą księcia Orłowa, czy z własnego popędu, postanowił uderzyć wprost do cesarzowej rosyjskiej, ukorzyć się przed nią i o łaskę dopomożenia mu do powrotu błagać. Książę Orłow przyrzekł mu swoje poparcie. Jakoż napisał list pełen uległych uczuć do carowej, a równocześnie udał się do posłów: pruskiego i rosyjskiego w Warszawie, wreszcie do króla pruskiego, z sobą spokrewnionego, i ministra rosyjskiego, z prośbą o poparcie.

Napisał też list do rozbitków konfederackich, czekających zawsze w starostwie jego człuchowskiem w Prusach, tłómacząc im swój krok, że gdy wszystkie nadzieje zawiodły, z potrzeby już teraz ratowania się przed zupełną ruiną to czyni, aby być w kraju gotowym do działań, skoro ukochana ojczyzna pomocy zapotrzebuje.

Mimo poparcia od Prus i Rosyi, co naturalnie bardzo szybko postępować nie mogło, mógł Radziwiłł na dobre utracić cały majątek. Ukończony bowiem świeżo sejm warszawski, między innemi, wydał także uchwałę co do zasekwestrowanych dóbr Radziwiłła i wyznaczył komisyę, by uregulowała jego długi. Strach zdjął wojewodę.

Rozważywszy tedy wszystko, zawiedziony w nadziejach, godził się wkońcu na podpisanie odstąpienia od konfederacyi i zaniechanie oporu, ale w słowach nie takich, jakich żądano z Warszwy. Chodziło mu już teraz nie o samo podpisanie odstąpienia, alc o wyrażenie, że konfederacyę i walki za wiarę i wolność nazwano „spiskiem“ przeciwko królowi i rządowi.

W czasie tym pisze do biskupa Massalskiego i innych panów na Litwie, prosząc, aby tak działali, iżby na najbliższym sejmie posłowie litewscy przychylnie i gorliwie na jego korzyść przemawiali, tak aby i do go-

dności swej wojewódzkiej i do wszystkich dóbr swoich mógł powrócić.

Działalność ta przedsejmowa księcia okazała się skuteczną. Wszyscy niemal posłowie w Koronie i Litwie mieli przez wyborców polecenie bronić na sejmie jego sprawy, co Radziwiłła napełniło niezmierną radością, tem więcej, że posłowie ci skłonili się ku temu, aby na sejmie wyjednać jszcze uchwałę, któraby pochwaliła zasługi wojewody względem ojczyzny i nakazała powrócić mu, obok dóbr, zabrany księgozbiór z Nieświeża, wreszcie wynagrodzić mu wszystkie straty przezeń poniesione.

Zrazu, chociaż i jenerał ziem polskich, Adam Czartoryski, już stanowczo sprzyjał księciu Karolowi, uznano żądania posłów za zbyt wygórowane. ostatecznie jednak sprawa księcia, niezawodnie za wpływem cesarzowej, doczekał się pomyślnego załatwienia. Sejm wydał przebaczenie dla Rdziwiłła, a zarazem uchwałę, oddającą mu godność wojewody wileńskiego i wszystkie dobra zasekwestrowane (oprócz odpadłych przy podziale: Siebieża i Newla, już przeszłych w ręce rosyjskie); przytem ustanowiono znowu komisyę dla załatwienia sprawy długów na majątkach księcia ciążących.

Wszystko to jednak spełnionem być miało pod warunkiem podpisania odstąpienia od konfederacyi, którą „spiskiem barskim" nazwano, a nadto wymagano wyznania, że książę będzie wiernym najjaśniejszemu Stanisławowi Augustowi i posłusznym ustawom sejmowym, i to pod wiarą, czcią i sumieniem przyrzeka.

Był to orzech twardy do zgryzienia dla takiego człowieka, jak książę Karol Radziwiłł, który podpisując odstępstwo, miał potępić całą ośmioletnią działalność, za nieomylną przez siebie uważaną, a zarazem uznać ją za spisek czyli bunt!...

W marcu roku 1777 otrzymał książę Karol wiadomość o zapadłych uchwałach; umawiał się jeszcze gorąco o wyrażenie „spisek", tłomacząc, iż będąc w sprzy-

mierzeniu narodowem, spełniał to, na co przysięgał i co jako obywatel prawy czynić był obowiązany. Wreszcie w początkach lipca stanął w Żmigrodzie, a potem w Żółkwi, i tu, gdy mu akt odstąpienia konfederacyi przysłano, mięknie już na dobre i akt podpisuje. Potem przesłał list uprzejmy, choć chłodny, do króla, w grudniu 1777 r. Nie znający goryczy i aż nadto do upokorzeń przyzwyczajony król, odpisał mu bardzo łaskawie.

ROZDZIAŁ IV.

Powrót z tułactwa do Nieświeża. Uczty wspaniałe. Kto kaszuba, kto cygan i kuśnierz? Pamiętny sejmik. Przygoda z panem Tryzną. Strachy i ojciec Idzi. Zgoda i pojedynek. Czy pies zwierzyną? Książę sędzią i co zrobił pan Leon Borowski? O królu cygańskim i niedźwiedziach w Nieświeżu słów parę.

Książę Panie Kochanku, wesołego i rubasznego z gruntu usposobienia, choć niezawodnie nad rozbiorem kraju bolał, powoli wraca w dobrym humorze do dóbr swoich. Do wiosny roku 1778 siedzi w swej Żółkwi, gdzie przedewszystkiem zajął się działem fortuny między siebie a brata, a potem urgulowaniem mocno zaszarganych spraw majątkowych.

Przez maj r. 1778 przebywa znowu w Ołyce i czeka tu, w drodze do swej ojczystej siedziby, aż ustąpi z Nieświeża pułk rosyjski, który wraz ze Słuckiem był zajęty na rzecz pretensyi wierzycieli. Tymczasem ściąga książę do siebie swoją milicyę, przytem zwola umawia się z bankierami w Gdańsku i w Hollandyi, gdzie prócz całych stosów rodzinnych klejnotów i sreber, złożone też były figury dwunastu apostołów ze złota. W rok potem udało mu się przecie i te wykupić.

Powoli jakoś podźwignąć zdołał sprawy majątkowe. Opustoszały i długo osierocony Nieśwież, gdy nakoniec opuściło go wojsko obce, powitał znów w swych murach ubóstwianego księcia. Następuje teraz okres, w którym książę Panie Kochanku, nie mieszając się do większych spraw krajowych, oddaje się całkiem pełnieniu obowiązków swoich, jako wojewoda i marszałek

trybunału; to dźwiga z upadku swe włości i miasta, to na sejmikach pomaga do wyboru swoich przyjaciół lub wreszcie używa pełną piersią wesołości i zabaw w kole ulubionych albańczyków i okolicznej szlachty.

Opływając w dostatki, otoczony mnóstwem przywiązanej szlachty, w towarzystwie wesołych osób, na łonie rodziny, na czele licznego orszaku sług i nadwornej milicyi, to wśród modlitwy, to na biesiadach, królował Radziwiłł panie kochanku w Nieświeżu.

Syt rozmaitych przygód, bawił się ich barwieniem lub na karb rzeczywistych zmyślaniem urojonych. W ogromnych lasach wyprawiał głośne łowy, przechodzące wspaniałością średniowieczne łowy królów i książąt. O kilka lub kilkanaście mil pędzono przez wygrodzoną ulicę płotów zwierzynę do parku nieświeskiego, jak się pędzi spokojną trzodę. Charakterystyczny i jedyny w swoim rodzaju byłby obraz tych łowów radziwiłłowskich!

W staroświeckim zamku nieświeskim, który książę przywiódł znowu do dawnej świetności, po dawnemu stróżowała murów i bram milicya nadworna, pod dowództwem Fryczyńskiego. Mnóstwo dworzan, jak: zarządzca zamku, marszałek, łowczowie, komisarze, szatny, piwniczy, hajducy itp., uwijali się po dziedzińcach i salach; życie wesołe znowu zawrzało dokoła, choć co prawda, książę Panie Kochanku bawił się teraz poważniej, niż za lat młodszych. W urządzaniu uczt i przyjmowaniu pań pomagała mu siotra Teofila, żona Morawskiego, teraz pisrza wielkiego litewskiego, która do ostatka przywiązaną doń była.

Już w r. 1778, w dwa lata po swym powrocie do ordynacyi nieświeskiej, książę pan wyprawia na zamku tak zbytkowną ucztę na Boże Narodzenie, że na nią oprócz zwierzyny miejscowej, worów z midałami, rodzenkami, kilku centnarów pieprzu, imbieru i innych zamorskich korzeni i słodkości, sprowadza z Rygi 1,500 butelek szampańskiego, 300 reńskiego, 200 burgundz-

kiego wina; węgrzyn zaś z własnych lał się piwnic. Sprowadzono jeszcze wtedy 100 butelek araku i trzy beczki piwa z Anglii. Dostarczono też tysiąc funtów świec woskowych, 30 garniturów strzelby berlińskiej wraz z 10-ma baryłkami prochu na ognie sztuczne, 15 baryłek z ostrygami marynowanemi i świeżemi, mnóstwo pomarańcz, cytryn, soków, oliwek i kaparów, wreszcie 100 butelek oliwy, 100 głów cukru i 800 funtów kawy. Jeżeli zaś tak było w okolicznościach zwyczajnych, w czasie świąt, to cóż za wystawność i zbytki roztaczać musiał książę Karol, gdy np. wydawał którą z sióstr za mąż lub przyjmował niezwykłych gości!

Na ogromnych salach zamkowych często gęsto do 1000 osób za stołami siadało.

Nie dziw, że przy takiej hojności i gościnnem podejmowaniu książę Radziwiłł stał się bożyszczem szlachty litewskiej. Kochał też całem sercem Litwę i Litwinów.

Dla Litwy nie chciał przydłużej mieszkać w Warszawie i należeć do rządu i był uprzedzony przeciwko wszystkiemu, co nie z Litwy. Kto z Małej Polski, zwał się u niego „cygan“, kto z Rusi koronnej, ten u niego „kuśnierz.“ Każdego zaś Wielkopolanina nazywał „kaszubą“.

— Do Korony (tj. właściwej Polski), mawiał, nie mam na łowy po co jeździć, panie kochanku, bo okrom zajęcy i wiewiórek nic tam niema!... — Ja kocham mych braci Koroniarzów, ale niema jak nasza Litwa! Ja i w Koronie mam kawał ziemi, ale dyabeł by w niej siedział. Kiedy my nidźwiedzie bijem, to tam z rozjazdem na przepiórki chodzą. U Koroniarzów susły to gruba zwierzyna.

W roku 1781 przypadł sejmik w mieście Nowogródku, na który zjechało kilka tysięcy litewskiej szlachty dla wybrania pisarza ziemskiego. Żeby wyjaśnić zajście księcia wojewody podczas tego sejmiku, trzeba nam dotknąć ciekawego zdarzenia, które się przedtem stało.

Niejaki pan Tryzna, szlachcic ubogi, ostatni poto-

mek starożytnego rodu, nawet spokrewnionego z Radziwiłłami, trzymał w dzierżawie radziłłowską wieś Kołdyczew. Zastawa była jak można najtańsza, i pan Tryzna począł już porastać w pierze, ale pieniądz go się nie trzymał; co Maciek zarobił, to Maciek zjadł. Był to zresztą człowiek ludzki, wesoły, ale czasem popędliwy. Piastował też urząd obywatelski struwczaszego.

Raz, w same żniwa, książę Panie Kochanku, nie uprzedziwszy go, jak piorun wpadł z licznem myśliwstwem, w którem był i przyjaciel księcia, Michał Rejtan, aby spolować lasy kołdyczewskie.

Pan Tryzna dawał właśnie rozporządzenie podstarościemu (ekonomowi), by żniwiarzy naglił do roboty i sam się w pole wybierał, kiedy wpadli dojeżdżacze księcia, wymagając, aby natychmiast obławę do lasu posłał. Że to byli ludzie prości i nieroztropni i jakoś tam cierpko wystąpili z żądaniem, więc pan Tryzna odmówił im ludzi, ofuknął ich jeszcze i miał przytem powiedzieć, wedle ich doniesienia, że kto w czasie żniwa poluje, temu piątej klepki nie dostaje. Powrócili dojeżdżacze.

Opowieść ich o całem zajściu zaczęła obiegać i, jak to bywa, ciągle rosła. Pan Mikuć, sekretarz księcia, miał żal do pana Tryzny, z powodu, iż ubiegając się o jego córkę dostał odkosza, więc dogadzając zemście, osmarował go przed księciem.

Książę odmowę Tryzny mocno uczuł, że pono jak zawrzasnął, to się aż lasy kołdyczewskie zatrzęsły, a niepohamowany w gniewie rozkazał natychmiast odebrać posłuszeństwo panu Tryźnie i wypędzić go z majątku.

Usłużni dworzanie księcia natychmiast się wzięli do tego, nawet z nieludzkością, tak, że pan Tryzna, lękając się o własną skórę, uciekał z tem tylko co miał na sobie; pani Tryźnina szczęściem wyjechała z córką na odpust do Pińska.

Pan Tryzna umykał piechotką, aż się kurzyło, a dostawszy we wsi Rajewie podwodę, udał się do Nowogródka, gdzie skargę wniósł przed sądem grodzkim, a zarazem i pozew na księcia o złamanie kontraktu i wygnanie.

Pan Tryzna zyskał na księciu kondemnatę (wyrok potępiający), ale cóż? cieszył się kodemnatą nieborak na bruku osadzony, a książę jak zajął Kołdyczew, tak go trzymał.

Otóż na tym sejmiku w Nowogrodku wojewoda nowogrodzki i kasztelan nowogrodzki z częścią szlachty obstawali za starostą Kaźmierzem Haraburdą, żeby tego wybrać na pisarza ziemskiego i sprawę przeciwko księciu i jego pzyjacielowi Rejtanowi wyzyskiwali, aby zohydzić właśnie tegoż Rejtana, szambelana królewskiego, który był drugim kandydatem na pisarza, a którego znów popierali stronnicy księcia i on sam.

Panie Kochanku wedle zwyczaju zjechał też na ten sejmik, żeby utrzymać Rejtana, co był radziwiłłowskim duszą i ciałem. Przybył książę w kilkanaście pojazdów i zajechał do klasztoru bernardyńskiego, którego był syndykiem (czyli gospodarzem), i całkowity dworem swoim zajął, oprócz kilku cel, w których się, jak mogli, cisnęli zakonnicy, bo oprócz księcia, pokotem leżał pan Michał Rejtan, Bukowski, szatny, i Ojciec Idzi, Bernardyn, o którym mówiono, że z opętanych ludzi dyabłów wypędzał. Książę złych duchów się obawiał, więc wymówił sobie, aby on w celi blizko niego spał i do tego Nepta, ogromna wyżlica, faworyta księcia.

Ubezpieczony nasz pan wojewoda, tak okropnie chrapał, a z nim Ojciec Idzi i Nepta, że przez cały czas sejmiku pan Rejtan prawie oka nie zmrużył.

Szlachta okoliczna, co za księciem piechotą przyszła, spała na dziedzińcu klasztornym (bo to było latem), na którym stało kilkadziesiąt fur z krupami, mąką, sloniną i gorzałką. Ciągle kurzyły się kotły na dziedzińcu, a w rzeźni codzień dla dworu i stronników księcia dwa

woły rżnięto. Książę dwa razy na dzień obiadował: raz ze szlachtą okoliczną z kotła zjadał krupnik i flaki, a potem w refektarzu z obywatelami, których u siebie podejmował, albo u jakiego urzędnika, do którego się zaprosił.

Pan Michał, coby rad widział koniec interesu z Tryzną, bo szlachta bądź co bądź na to sarkała a sam nie śmiał przed księciem z tem się odezwać namówił Ojca Idziego, aby przy pomyślnej okoliczności jakoś bąknął księciu, żeby się dał przekonać i był sprawiedliwym dla pana Tryzny.

Jakoż wziął się do tego Bernardyn. Po odbytych pacierzach, wszyscy pokładli się i światło zgaszono, a gdy wśród ciemności nocnej zapanowało milczenie, książę odezwał się:

— Ojcze Idzi! — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, — co książę rozkaże?

— Czy nie słyszysz, waszeć, jak moja Nepta warczy? — zapewne nieboszczyk Wołodkowicz mnie nawiedza.

Na to pan Michał Rejtan, przeżegnawszy się:

— Co się też marzy waszej książęcej mości? ludzie się szastają po kurytarzu, a Nepta warczy na nich; — już tam zaraz ma być pan Wołodkowicz?...

— Milczałbyś, panie kochanku; że umiesz grać we francuskie karty, to już siebie masz za mędrka. Ja nie do waści mówię, ale do Ojca Idziego. — Ojcze Idzi! wszak prawda, że dusze nieraz po świecie chodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić?

— Tak jest, jaśnie oświecony książę, bywa to pono, bywa.

— Słyszysz, panie Michale? — aż miło spać z księdzem, bo i oświeci i uspokoi. — Ojcze Idzi, zawsze ten nieboszczyk Wołodkowicz stoi mi w oczach; co to był za przyjaciel! Gdybym go mógł wskrzesić, oddałbym, co mam, a sam do was za braciszka bym wstąpił. Za

życia nieboszczyka księcia ojca najechałem po pijanemu pana Piotra Kotwicza i dom mu podpaliłem. Pan Kotwicz na mnie namalował sto tysięcy złotych pretensyi i kazał mi oświadczyć, że jeżeli mu ich nie odliczę, to mię zapozwie. Ja byłem goły, bo nieboszczyk książę był skąpy, a do tego tak groźny, że raz kazał mi dać 50 batogów, chociaż ja byłem miecznikiem litewskim i orderowym panem, a jakby się o takim zbytku dowiedział, możeby mnie był ubił batogami. Co tu było robić? A mój Wołodkowicz dwa folwarki swoje własne zastawił i zagodził Kotwicza (tu słychać było, jak książę szlochał)... I czy to raz za mnie się poświęcił? Kiedyś to mnie, jakby przeczuwał, że niedługo będziemy z sobą, powiedział: „Książę Karolu, ty dłużej odemnie żyć będziesz, jak umrę, pamiętaj o mojej duszy." — Otóż, kiedy nagle rozstrzelano go w Mińsku i ja zapóźno o tem się dowiedziałem, będąc już pod miastem, chciałem srogo pomścić śmierć jego, ale na pierwszym noclegu we śnie pokazał mi się Wołodkowicz i prosząc mnie wyraźnie to powiedział, że jak się mścić będę, jemu będzie gorzej na tamtym świecie; zaniechałem przeto zemsty... Ojcze Idzi, wszak prawda, że on dotąd w czyśccu?

— A któż to przeniknie sądy Boże, książę panie? I sprawiedliwość i miłosierdzie wielkie u Niego.

— Jużci Wołodkowicz do piekła nie poszedł, panie kochanku. Daj Boże nam wszystkim być tak gorliwymi jak on w wierze. Jednakże dusza jego nie przestaje mię nawiedzać... Ojcze Idzi, daj mi na to radę, a ja za to wasz klasztor gdańską dachówką pokryję.

— Niech Bóg zapłaci waszej książęcej mości i jego wspaniałości dla nas; każdy dar jest Panu Bogu miły, ale im większa ofiara, tem skuteczniejsza. Niech książę pan zrobi na intencyę nieboszczyka jaką ofiarę z gniewu, np. niech poda rękę takiemu, co go obraził, a tem najlepiej uwolnisz duszę przyjaciela...

— Otóż, już do mnie waszeć mówisz językiem mojego proboszcza nieświeskiego, księdza Kantembrynga,

co całe życie u mnie za lada sprawami patronuje. Tamtego tygodnia najlepsza moja charcica, wiatrówka, zdechła — z niepilności Grzesia pisarza. Kazałem go był, panie kochanku, zakuć w łańcuchy; po sprawiedliwemu warto było ze skóry go obedrzeć, a X. Kantembryng jak zaczął mi prawić antyfony, a prosić, a straszyć, a kruszyć — to choć powiedziałem: nie odpuszczę, jakem Radziwiłł — tyle mi nadokuczał, że puściłem chłopca bezkarnie.

— Jabym się odezwał z czemś, ale nie śmiem — wtrącił znowu Ojciec Idzi.

— Mów śmiało, mów śmiało, Ojcze Idzi; wszak na swoim dziedzińcu i wiory biją, a ja u was w gościnie; mnie o waszą łaskę, nie wam o moją dbać, a potem — swemu syndykowi trzeba prawdę mówić.

— Kiedy mi książę pan pozwala tyle śmiałości, to niech wasza książęca mość sobie przypomni, czy kogo nie ukrzywdził?

— Ja, ja, panie kochanku, nikogo nie ukrzywdziłem; mnie wszyscy krzywdzą, a ja im dla miłości Pana Boga odpuszczam. Ja nikogo nie podrapał, chociaż mnie ten kaszuba Sułkowski nazywa w Warszawie niedźwiedziem litewskim, ale podrapię ja go dobrze, jak do Grodna na sejm przyjedzie. — Ale to do waszeci, Ojcze Idzi, nie należy, bo waszeć nie wielkopolski Bernardyn. A w Litwie kogo ja ukrzywdził? Ja, pokorny jak dziecko, panie kochanku. Ksiądz Kantembryng ciągle mnie z ambony przymawia, a ja się na niego nie krzywię; a pan Leon Borowski mało mi figlów napłatał? A pan Jerzy Białopiotrowicz mało mi się worał w moje grunta? A ten mędrek, co tu śpi, Michał Rejtan, mało mi niedźwiedzi wybił w Nalibokach a bobrów wyłowił w Łachwie? A ja się nie odzywam, tylko przed Panem Bogiem czasem zapłaczę. Na nikogo złości nie mam, na nikogo; mnie wszyscy krzywdzą, ja nikogo. Ojcze Idzi, wystrzeliłeś, aleś spudłował. — Słuchaj, bernachu, tobie się spodobał mój pas słucki, com go wczoraj miał na sobie; mówiłeś, że

byłby z niego ornat, jakiego w Wilnie w zakrystyi katedralnej niema; jeżeli mnie dokażesz, że mam na kogo gniew, rozumie się w Litwie, to ci go dam, a jak nie dokażesz, to dasz sobie pięćdziesiąt dyscyplin na intencyę Wołodkowicza.

— Zgoda, książę panie! pas będzie nasz, a ja taki dyscyplinować się będę na intencyę nieboszczyka, tylko się boję odezwać, bo nuż książę pan się obrazi?

— Mów śmiało; nie będę się gniewał, jakem Radziwiłł.

— Kiedy mnie książę pan ośmielasz, to powiem, że był zacny obywatel, który przed rokiem jeszcze wiele nam świadczył. Bywało, fury z jego spichrza idą do klasztoru, a teraz my musimy udzielać mu z jałmużn, bo z głoduby umarł, a to dlatego, że książę pan wypędzić go kazał z zastawy i prawie w jednej koszuli do Nowogródka uciekł. Pozywa się teraz z księciem, a kawałka chleba nie ma pan Józefat Tryzna.

Tu mu przerwał książę.

— Co się ty wtrącasz, Ojcze, w nieswoją rzecz! Ja cały majątek stracę, a na swojem postawię. On, okryty mojemi dobrodziejstwami, on, co prawie darmo Kołdyczew trzymał, odmówił mi ludzi na obławę, — sługi moje z błotem zmieszał i mnie głupcem nazwał! Albo ja, albo on z torbą pójdzie.

— Już on poszedł z torbą, książę panie, ale niech wasza książęca mość przypomni sobie, że przynajmniej dwa razy na dzień mówisz Panu Bogu: odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy winowajcom naszym.

Tu nastąpiło milczenie przez kilka chwil, aż dały się słyszeć kroki.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! odezwał się książę.

— I ja go chwalę; to ja, książę panie, wychodzę, a to trepki moje, co z przeproszeniem jego uszu, troszkę hałasu narobiły.

— Proszę waszeci, panie kochanku, nie odchodź z

celi, śpij ze mną, bo jak do mnie przyjdzie Wołodkowicz, bez ciebie, mój księże, zachoruję z żalu. Ja z tym heretykiem Rejtanem, co z upiorów żartuje, sam na sam nie chcę być w nocy, a Bukowski śpi jak zabity. Kładź się, Ojcze Idzi, i nie gniewaj się. Gdyby się przynajmniej Tryzna upokorzył... ale taki — z tego nic nie będzie.

Potem nastąpiła głęboka cisza, a zaraz potem zwykła muzyka księcia: chrapanie, a też Ojca Idziego i Nepty. — Ale pan Bukowski, co znał księcia na pamięć, a dobrze życzył Tryznie, i pan Michał Rejtan już mieli dla niego dobrą nadzieję; tylko szło o to, aby pana Tryznę namówić, by jakiś krok do księcia zrobił, co nie było łatwo: bo choć podupadły, do naginania się nie był skłonnym.

Mimo to jakoś dobrze się ukartowało. Nazajutrz po tej rozmowie, o której uprzedzono pana Tryznę, nastąpiło rozpoczęcie sejmiku w kościele. Po wyniesieniu Najświętszego Sakramentu, zagaił obrady chorąży Rdułtowski zawezwawszy najprzód szlachtę do obrania marszałka sejmu. Natychmiast po całym kościele huknęły głosy: „Jaśnie oświeconego księcia wojewodę wileńskiego prosimy na marłszałka!“

— Zgoda! zgoda! — zaczęła krzyczeć szlachta, aż tu pan Kaźmierz Haraburda, przybliżywszy się do koła urzędników, zawołał:

— Niema zgody! — lubo nadto byłbym szczęśliwy przyczynić się moim głosem do zaszczycenia województwa marszałkiem, jakim jest jaśnie oświecony książę wojewoda, ale prawo mówi wyraźnie: „że obywatel pod kondemnatą będący żadnego urzędu sprawować nie może“.

Na to wszyscy słudzy i przyjaciele księcia dobyli szabel i byliby w puch rozbili partyę pana Niesiołowskiego, wojewody nowogrodzkiego, ale pan Jerzy Białopiotrowicz, co był powszechnie szanowany, uprosił ich, aby pochowali szable. Inni zarzucili z krzykiem Hara-

burdzie, aby z cudzą, bo nie swoją kondemnatą się nie popisywał i milczał. — Książę pomiędzy nimi stał mocno poruszony i wąsa do góry nakręcał, aż tu pan Tryzna, który jako urzędnik obywatelski w kole zasiadał, a dotąd milczał, powstał i głosem drżącym, z wyrazem żalu, tak przemówił:

— Mamci wprawdzie kondemnatę (wyrok) na jaśnie oświeconego księcia wojewodę wileńskiego, i tu ją składam, krwawo się czuję być uciśnionym, ale jako obywatel obowiązany jestem moje prywatne uczucia ustąpić dobru publicznemu, a przekonanym będąc, że nic nie może być lepszego dla naszego województwa (nowogrodzkiego), jak poruczyć przewództwo naszego sejmu jaśnie oświeconemu księciu, który go do pomyślnego kresu doprowadzi, na boku zostawując moją krzywdę, i mimo siebie ją puszczając, a bacząc na przewłoki stąd wyniknąć mogące, oświadczam się, że jaśnie oświeconego księcia wojewodę z otrzymanej nad nim kondemnaty kwituję.

Książę wojewoda przybliżył się do koła i tak był rozczulony, że nie mógł więcej powiedzieć, tylko:

— Chociaż żal czuję do pana Tryzny, ale ten krok jego życzliwości i zaufania będę się starał wywdzięczyć.

Po całym kościele dały się słyszeć liczne okrzyki: „Niech żyje książę, marszałek sejmiku! Wiwat pan Tryzna!"

Książę rozpoczął swoje urzędowanie, ale że już było koło pierwszej z południa, więc odroczył posiedzenie do ósmej z rana na dzień jutrzejszy, a sam na obiad poszedł do chorążego Rdułtowskiego, gdzie w dziedzińcu było mnóstwo stołów pozastawianych i liczna szlachta tam się już zebrała. Był i pan Józefat Tryzna, i przy kielichach zaczęto godzić się z księciem.

Książę powiedział:

— Ja pana Józefata kocham, to krew nie woda, panie kochanku, i moją prababkę Tryznianka rodzi. Od-

daję mu Kołdyczew, a pretensye, jakie mieć może za zerwanie kontraktu niech przyjaciele rozsądzą. Ale mam żal do niego osobisty. On moich sług zbeształ i kazał mi powiedzieć, że mnie piątej klepki nie dostaje. My obaj szlachta, zatem niech nas szabla rozprawi i to natychmiast.

Napróżno się tłomaczył pan Tryzna, że tego nigdy nie mówił, a gospodarz, pan chorąży, i inni, przekładali, — musiał dobyć pan Tryzna szabli i bić się zaczęli w przytomności wszystkich gości. Panu Tryznie przy rąbaniu pękł brzeszczot (ostrze), tak silnie uderzył po nim książę wojewoda, a sędzia Rewieński pana Tryznę rozbrojonego złożył swoją szablą. — Książę odezwał się:

— Mam zupełne zadośćuczynienie — i ucałował Tryznę; przeglądał szablę i powiedział: to szabla moja, bo ja ją krwią moją zdobyłem: przyznaj, panie Józefacie, że umiem się składać.

Potem dano pić na zgodę. Książę był w przecudnem usposobieniu.

— Panie Michale, mówił do Rejtana, bądź spokojnym o pisaryę ziemską; ja sam jeden z moją szablą-batorówką całą partyę wojewody nowogrodzkiego rozpędzę.

Książę i pan Tryzna zapisali się na sąd polubowny na pana Białopiotrowicza i już tylko sejmikiem wszyscy byli zajęci.

Szlachta, ucieszona postępkiem księcia nie mogła do siebie przyjść z radości. Słychać było jak między sobą rozprawiali: „A co, nasz książę czy nie tęgi rębacz? brzeszczot jak masło przeciął. A i pan Tryzna przecie gracz: dwanaście świec łojowych od jednego zamachu ścina, ale kto naszemu księciu da radę?“

Trzeba zaś wiedzieć, że pan Tryzna miał szablę turecką z miękkiego żelaza, bo bić się nie spodziewał, ale na tym pojedynku źle nie wyszedł, bo książę bardzo go polubił i nieraz potem powtarzał, prześladując żartobli-

wie, że gdyby nie pan Ignacy Rewieński, byłby mu głowę odciął.

Po obiedzie poszli wszyscy na dziedziniec OO. Bernardynów, gdzie lubo wszyscy już byli dobrze podochoceni, z radości na nowi pili.

Nazajutrz o samej ósmej zebrała się znów szlachta do sejmikowania, a książę, jako marszałek, zaprosiwszy wszystkich urzędników ziemskich i grodzkich do koła, zawiadamiał jaśnie oświeconych, jaśnie wielmożnych i wielmożnych panów i kochanych braci, że dwóch kandydatów jest im podanych na wybór pisarza ziemskiego: jeden pan Michał Rejtan, szambelan królewski, drugo pan Kaźmierz Haraburda, starosta wiladymowski.

Zawołali jedni: pana Michała Rejtana prosimy! — Zgoda! zgoda! — odezwano się tłumnie; pana Rejtana prosimy! — Niema zgody! niema zgody! — krzyknęli inni — pana Haraburdę prosimy! — ale tego stronnictwa głosy były słabsze.

Nikt z radziwiłłowskich szabli nie dobył, bo książę ich wszystkich zaklął, żeby żaden do gwałtu nie dawał pobudki chcąc swoje urzędowanie odbyć w największym porządku. Zatem powstawszy książę, zaprosił panów braci do głosowania.

Pan Haraburda, widząc, że niepodobieństwo mu eię utrzymać, przybliżył się do koła, zabrał głos i oświadczył, że nie chcąc nikomu być na przeszkodzie, odstępuje, i zaraz wyszedł z kościoła. Zatem pan Michał Rejtan został pisarzem ziemskim.

Jeszcze sześć dni niby trwał sejmik, ale w istocie była to już tylko hulanka, która jednak nie była bez pożytku; więcej albowiem trzydziestu spraw, za namową szczególniej księcia wojewody, poszło pod sądy polubowne, a byłoby niektóre zadawnione i bardzo zawiłe.

Jak nam wiadomo w przepisach szkoły rycerskiej albańskiej był i ten, że dwaj albańczycy, mający między

sobą zajście, nie mogli się ciągać po sądach, ale powinni zdać się na sąd ostateczny jednego z kolegów. Z tego powodu zdarzył się zabawny wypadek, który szczególnie okazał dobroć księcia Panie Kochanku.

Razu jednego zjechało się kilku radziwiłłowskich przyjaciół w Samuelowie u Mikołaja Morawskiego, generała wojsk litewskich. Między nimi był pan Leon Borowski, komornik słonimski, od śmierci Wołodkowicza najpoufalszy domownik księcia i pan Bonifacy Sołohub, koniuszy nowogrodzki.

Pan Bonifacy strzelał nic potem, bo miał wzrok krótki, ale z oszczepem na niedźwiedzia żwawo chodził, bo był silny i nieustraszony. Miał on strzelbę dwururną hiszpańską, nad jaką lepszej u samego księcia nie było, i zawsze z sobą ją woził.

Pan Leon chciał ją koniecznie dostać i różne mu przekładał zamiary. Ofiarował za nią cztery konie siwosrokate, któremi przyjechał do Samuelowa, ale i to było napróżno, bo lubo do nich pan Bonifacy dość się palił, był twardy i ciągle go zbywał, powtarzając:

— Prędzej się ze skórą niż z dubeltówką rozstanę.

— Nacóż ci się ona zda, kiedy ty strzelać nie umiesz?

— Czy umiem czy nie umiem, to nie twoja rzecz, a strzelby nie dam.

— A jużci kto ma strzelbę, powinien okazać, że ona mu się zda na coś.

— A może też strzelam tak dobrze jak ty.

— Możesz tego dać dowód! Niedaleko dworu jest knieja niewielka, obrzućmy ją siecią, mam sforę gończych z sobą, od których lepszych w Nieświeżu nie znajdziesz, a cała psiarnia gospodarza jaśnie oświeconego generała jest na twoje usługi; on obławy nam nie odmówi, ani dojeżdżaczów. Pójdziemy ze świtem do kniei; prócz ciebie nikt strzelać nie będzie. Jeżeli wyniesiesz zwierza, ja ci oddam moje cztery konie, a jeżeli skwasisz polowanie, pożegnaj się ze swoją strzelbą.

— Zgoda, ale zróbmy układ na piśmie i wręczmy go panu generałowi, bo jak ubiję zwierza, toś ty żarcikami gotów mnie zbyć, wszak my się nie od wczoraj znamy.

— Pisz co ci się podoba, zakończył pan Leon Borowski, ja wszystko podpiszę, bo wiem, że ubijesz zwierza, jak ci na nosie chyba siądzie.

Stósownie do zakładu, spisano układ. Przeciąg trzech godzin był wyznaczony na te łowy, a pan Leon żarcikami tymczasem napastował pana Bonifacego.

Nazajutrz, przed piątą jeszcze, wszyscy już byli w kniei samuelowskiej, zwanej Koski. Po niejakim czasie, wprzód nim psy głos dały, usłyszano strzał. Wszystkch to mocno zadziwiło, aż tu pan Bonifacy wydobywa się z gęstwiny, ciągnąc za ogon jednego z psów pana Leona, którego dopiero zastrzelił, i odzywa się:

— Proszę o konie — ubiłem zwierza!...

— Jakto! — powiedział pan Leon — ty za psa mnie zapłacisz, a pokaż zająca, jeśli chcesz, aby konie były twoje.

— Przeczytaj opis, panie bracie, tam o zającu niema wzmianki tylko o zwierzu, a spodziewam się, że pies — zwierzę.

— Do kogo innego waćpan idź ze swoimi żarcikami, a ja pana generała proszę o strzelbę.

Pan generał na to: Odczytamy w domu opis.

Wrócili wszyscy do domu, pan Leon nie posiadając się ze złości, a pa Bonifacy za boki trzymając się od śmiechu. Pan generał przeczytał i powiedział:

— Niema wyraźnego rodzaju zwierza, co miał być zabity, a zatem, wedle opisu, w istocie pan Bonifacy wygrał zakład.

— Ja na to nigdy nie przystanę, odezwał się pan Leon, odwołuję się do sumienia wszystkich myśliwych, czy pies może uchodzić za zwierzę?

— A juści nie ryba, odparł pan Bonifacy, pożegnaj się z końmi, panie Leonie, a nadal w opisach twoich lepiej się pilnuj.

— Ty moich koni nie dostaniesz, a strzelba moją będzie, chyba, że sprawiedliwości niema na świecie.

Stanęło na tem, że to byli obaj albańczycy, zatem wedle ustawy jeden z ich towarzystwa miał ich rozsądzić. Pan generał zatrzymał konie i strzelbę u siebie.

— Temu je oddam, rzekł, komu je dekret sądu polubownego przysądzi.

Przystali obaj na to, a pan Leon dodał:

— Jeżeli ci, co psy biją, mają się nazywać myśliwymi, to moje konie przepadną. Ja na samego księcia wojewodę się zdaję.

— Zgoda, niech naczelnik sądzi, zakończył pan Sołohub.

Panu generałowi wypadło także jechać do Nieświeża, dokąd się nasi myśliwi wybierali. Pan Leon widząc, że wszyscy w tym interesie sprzyjają Bonifacemu, tak się rozsierdził, że zrzekając się już strzelby, aby tylko przeciwnik odczepił się od jego koni, nie chciał od nikogo przyjąć miejsca, ofiarowanego mu na bryczce. U arendarza furę najął i sam jeden puścił się do Nieświeża.

Księciu obie strony opowiedziały interes, prosząc, aby chciał zostać superarbitrem to jest przewodniczącym w sądzie polubownym. Książę przyjął ich prośbę i polecił im jechać do Nowogródka, by tam zrobił akt, że się obaj na ten sąd piszą. Pojechali każdy z osobna, bo pan Leon tak był rozjątrzony na Bonifacego, że mówić z nim nie chciał. Zrobiwszy opis, nazajutrz wrócili do Nieświeża.

Książę kazał z wszelkiemi formalnościami przed sobą sprawę wprowadzić. Obaj byli mu miłymi, ale że strony na siebie były bardzo zawzięte, a obaj ludzie zuchwali, odważni, mogliby się dopuścić obrazy, a książę chciał zawsze utrzymać jedność między swoimi albańczykami, naznaczył więc kary 200 złp. na rzecz Bonifratów nowogrodzkich za każde odezwanie się przy sprawie tak jednej jak i drugiej strony. Przez obrońców sprawę wprowadzono i broniono.

Każda strona na żądanie samego księcia dodała mu po jednym arbitrze to jest sędzim. Cała sprawa twała dwa dni, poczem sam książę ogłosił dekret, przysądzający cztery konie panu Bonifacemu Sołohubowi i kosztów oraz kary około dwóchset złotych na rzecz pana Bonifacego, z potrąceniem 80 złotych za szkodę poniesioną w psie gończym, zastrzelonym przez pana Sołohuba.

Pan Leon po wysłuchaniu dekretu blady był, wargi mu się trzęsły i nie podziękowawszy księciu, w niepohamowanym gniewie, natychmiast wyjechał z Nieświeża. Przybywszy do Niehoreły, dóbr, które z łaski księcia za bezcen trzymał, napisał list do wojewody pełen wymówek, wyrzucając mu niesprawiedliwość, i odsyłając mundur albański, z oświadczeniem, że już do tego towarzystwa należeć przestaje, nie chcąc mieć dłużej nad sobą naczelnika tak stronnego w sądzeniu. Dodał przytem, że nieprawnemu wyrokowi nigdy nie ulegnie, że jako szlachcic będzie szukał sprawiedliwości po sądach szlacheckich, nie znajdując jej w kaprysach pańskich — i inne dotkliwe rzeczy napisał.

Książę odebrawszy list, zamiast się obrazić, zaczął się śmiać do rozpuku, mówiąc:

— Panie kochanku, coś pan Leon bardzo się rozgniewał, jednak jakoś się da przeprosić.

Tu nie koniec. Pan Leon wyraźnie, jakby coś do niego przystąpiło, zaczął ciągać księcia po sądach, usiłując wszędy zwalić dekret sądu polubownego, a wszędzie przegrawszy, podał na księcia prośbę do Rady nieustającej, będącej przy królu. Dopiero się teraz książę obraził, bo tej prawniczej władzy nienawidził, gdyż ograniczała wolność sejmów w tworzeniu praw.

Pan Leon i tu nic zgoła nie wskórał, bo Rada nieustająca odmówiła mu uchylenia dekretu, a książę do najwyższego stopnia obrażony, złożył w sądzie sumę zastawną na dobrach Niehoreły, odebrał je Leonowi Borowskiemu, a dobra te więcej rocznego dochodu przynosiły, niżeli wynosiła cała kwota zastawna na nich o-

parta. Nadto jeszcze się odgrażał, że na tem nie poprzestanie i kilkakrotnie, prawie co dzień, przed swymi albańczykami powtarzał:

— Panie kochanku, nie mam przyjaciół wiernych: pan Leon mnie ukrzywdził, a nikt się za mną nie ujmuje. Wszyscy albańczycy moje folwarki za bezcen trzymają, słudzy się panoszą i to całe ich przywiązanie!...

Te słowa wnętrzności dworzanom przeszywały jakby nożem, bo i pana Leona szczerze kochali, pomimo jego dziwactwa, gdyż będąc jeszcze w łaskach szczególnych księcia, świadczył im dużo dobrego, za sobą nigdy o nic nie prosząc. — Z drugiej strony obowiązki dworzan dla księcia były święte: jego chleb jedli, i smaczny, i gdyby pan Leon nie przeprosił księcia, radzi nieradzi musieliby się z nim rozprawić, bo sławy swego pana od napaści bronić trzeba było. Starali się więc jakoś rzeczy pogodzić, to jest: przyjaźń dla Borowskiego i przywiązanie z wdzięcznością dla swojego pana.

Uproszono jednego z nich, Jerzego Płaskowskiego, aby skłonił Leona do upokorzenia się przed księciem. Pojechał do miasta Słonima, gdze pan Leon siedział komorą i zostawał ledwo że nie w czarnej rozpaczy.

— Patrz, panie Jerzy, odezwał się Borowski do przybyłego po przywitaniu się, patrz, gdzie mię czart zapędził!... Dwudziestoletne zasługi dyabli wzięli. Piękny majątek utraciłem i jeszcze wcześniej czy później po skórze oberwę. I Sołohub, krusząc się, że z niego to wyszło, popłakał się nade mną. Wyszastałem się po sądach ze wszystkich moich funduszów... Jak jaki ostatni błazen postąpiłem... Już moje pasy lite zastawione po żydach, sakiewka pusta, i tylko cię wódką, mój panie Jerzy, przyjąć mogę, bo na wino nie stać.

Pomimo oporu pana Leona, Płaskowski posłał po wino. Pan Leon tak dalej przy kieliszku mówił:

— Suma, którą miałem na Niehorele, była nieboszczki mojej żony, leży w sądzie, bez pożytku dla mnie, a 40,000 zł. moich własnych, co mi zostały z krwawej pra-

cy, siadły makiem u p. Łopaty, od lat trzech ani kapitału ani procentu!

Pan Jerzy z ledwością uprosił go, że przyjął od niego sto czerwonych złotych, jako pożyczkę, by wykupił zastawione rzeczy.

Gawędząc, popijali wino, ale gdy przyszło do interesu, to jest jaką furtką trafić do księcia, rozmaite środki podawał pan Jerzy, a pan Leon zwsze odpowiadał, że nie odważy się księciu pokazać, bo jest impetyk i krwawo by go shańbił, że nadto mu się naraził swą nieroztropnością, niewdzięcznością i zapamiętałością.

— Niema rady, zakończył, książę wszelkie do mnie przywiązanie utracił.

— Otóż wiesz, odparł pan Jerzy, on ciebie kocha. Kiedy trzeźwy, to na twoim łbie szyny żelazne łamie, ale jak sobie tylko podchmieli, ciebie szuka i przymrużywszy oczy, mruczy, nalewa kielich i „do ciebie, panie Leonie!“ przypija.

— Co powiadasz?

— Bóg świadek, że kilka razy tak było przy mnie. Cały dwór za tobą tęskni; cała Alba mnie do ciebie wysłała w poselstwie, abym cię jakoś przywabił do przeproszenia księcia, i by mieć po dawnemu twoje plecy za sobą w Nieświeżu.

— Tam do dyabła! kiedy tak się rzeczy mają, pojadę do Nieświeża, wprost na wesele, które wyprawia książę u siebie dla swej siostrzenicy, panny chorążanki.

Pan Jerzy radził, aby raczej przyjechał po weselu, jak się goście rozjadą, uważając ten zamiar za nowe szaleństwo.

Myśląc, że pan Leon inną sobie chwilę wybierze, odjechał po czułem z obu stron pożegnaniu. Nikt też w Nieświeżu nie przypuszczał, aby pan Leon, jako nieproszony, przyjechał w czasie wesela do zagniewanego na siebie gospodarza.

W dniu, w którym się miało odbyć wesele, o dziewiątej z rana, po mszy św., książę siedział w sieni, dokąd

mu przynieśli w kobiałce szczenięta, świeżo narodzone z Nepty. Był w złem usposobieniu, bo nic nie mówił, tylko mocno sapał, głaszcząc sukę ulubioną i jej potomstwo, a nakoniec odezwał się do dworzan:

— Panie kochanku! Kazałem, aby mi z Łachwy kilka łosiów i dzików przywieźli na wesele chorążanki, a dotąd ich nie widać. Przyjdzie się wstydzić przed gośćmi, że u Radziwiłła kapcański obiad. Nikt mnie nie słucha, drwią ze mnie, odkąd mnie pan Leon Borowski ukrzywdził bezkarnie. Trzeba uciekać z Litwy, bo doczekam się tego, że we własnej mojej chacie wielmożny Borowski, komornik słonimski, da mi w skórę, a moi przyjaciele jeszcze mu pomogą. Jak tylko oddam chorążankę, zaraz wyjadę, między koroniarzami szukać będę przyjaciół, a Litwy i znać nie chcę!

I coraz mocniej zaczął sapać, a ci, co go otaczali, nie wiedzieli, co z sobą robić, tak ich temi wymówkami piłował. Wtem w sieni drzwi się odmykają i wchodzi... kto? pan Leon Borowski!... z miną gęstą, w kontuszu nowogrodzkim, ponsowym, z pasem litym złociście, że aż się oczy ćmiły, i niziutko skłonił się przed księcieciem.

Książę tak się zmieszał, że aż języka zapomniał w gębie. Wstał, znowu usiadł w krześle i odezwał się w roztargnieniu:

— Co słychać, panie Leonie?

— Teraz słychać, odparł pan Leon, że dwóch jest wielkich głupców na Litwie.

— Kto taki?

— Jeden książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, drugi Leon Borowski, komornik słonimski.

— Jakto! przerwał książę mocno zasapany.

— A tak, książę panie: Radziwiłł, że się porwał był na imperatorową rosyjską, a Borowski, że się porwał na Radziwiłła.

Cóż powiedzieć? Książę zamiast coby się miał gniewać, zaczął się śmiać do rozpuku, a po potem rzekł:

— Panie Leonie, waćpana całe życie błazeństwa trzymać się będą. A kto waści zaprosił do Nieświeża na wesele?

— Sam się zaprosiłem, książę panie; zastęskniłem się w Słoninie. Wykroczyłem, o tem Bóg i ludzie wiedzą więcej jeszcze, niż sam ksążę; bij mnie, bom wart tego, ale ostrzegam, że wasza ks. mość i hakami od Nieświeża mnie nie odpędzisz — i ukląkł przed księciem.

Książę się rozczulił, kilkakrotnie go ucałował, mówiąc:

— Panie Leonie, bądź dobrej myśli, o tem, co minęło, nie gadajmy.

Pan Leon padł do nóg i rozbeczał się: książę go podniósł i zaprowadził do pokoju, dokąd wszyscy dworzanie za nim poszli. Książę ciągle odtąd był wesoły, bo pan Leon miał dar szczególny go rozweselać, jak i wszystkich.

Wrócono mu Niehorełę i mundur albański przy dawnych względach i odtąd już nigdy pan Borowski księciu się nie naraził.

W tym czasie książę wojewoda miał szczególniejsze odwiedziny króla cygańskiego. Zanim o nich opowiemy, wypada nam je poprzedzić kilku słowami:

Cyganie, lud koczujący, bez ziemi i religii, wypędzani z różnych krajów, zdążali tam, gdzie mniej doświadczali prześladowania a więcej politowania i miłosierdzia, rozsiali się więc po Litwie, tej błogiej krainie, która zawsze jest gotową pożywić biedaka. Mnóstwo ich osiedliło się w dobrach radziwiłłowskich. Spotykał się z nimi książę, a litując się nad ich położeniem, naznaczył im stałe osady w okolicy Smorgoni, między lasami.

I dobrze się wiodło cyganom w Smorgoni; jedni z nich robili łańcuchy, łańcuszki, kajdanki, kłódki do zamykania itp.; inni wyrabiali łyżki, łyżeczki, niecki, kołowrotki, wrzeciona i różne sprzęty gospodarskie; inni

znowu maty, rogoże, łapcie, kropidła itd. Ale potrzeba było jakiegoś pomiędzy cyganami porządku, władzy i prawa. — Otóż to spowodowało księcia, że im nadał króla i przepisał całe urządzenie.

Królem cykańskim, jak mówiono, był wtedy jakiś szlachcic ubogi, niegdyś wojak, który jeszcze za życia księcia hetmana, ojca księcia Karola, będąc młodym, awanturował się po Mołdawii i Wołoszczyznie, gdzie było najwięcej cyganów, wyuczył się doskonale ich języka, obyczajów i zrozumiał całą ich naturę. Wróciwszy do kraju rodzinnego, zyskał sobie względy książęce, został oficyalnym naczelnikiem cyganów i dzielnie władając nimi, nakoniec też królem przez księcia mianowany i łaskami książęcemi był zaszczycony.

Ten król był wysokiego wzrostu, barczysty i kościsty, a mimo to chuderlawy; na głowie nosił czapkę w kształcie jakoby korony, w niej było utkwione krótkie, pawie pióro; suknię miał długą, czarną, obwisłą aż do kostek, przepasaną czarnym pasem i czerwone buty; na szyi powierzchu sukni miał łańcuch z grubych, białych paciorek, zwieszający się aż na piersi, na którym wisiało wyobrażenie niedźwiedzia, a na nim siedząca małpa w czerwonej kaftance. Był bardzo poważny; wszyscy go też cyganie poważali i bali się, bo choć był sprawiedliwy, okrutnie występnych karał, a mówiono, że ma siłę niepospolitą.

Obowiązki króla cygańskiego były następujące: 1) pomnażać ludność rzeczypospolitej cygańskiej, sprowadzając cyganów do osad smorgońskich, choćby z całej Litwy. 2) zatrudnić każdą rodzinę cygańską w sposób właściwe jej usposobieniem zgodny, tak, aby na swe utrzymanie mogła zarobić. 3) utrzymać wszystkich w karności, nie dopuszczać złodziejstwa. 4) założyć uczelnię czy tak nazwaną przez żart akademię niedźwiedzi i małp, uczyć ich tańców i różnych sztuk, a do tego wybrać nauczycieli z najsprytniejszych cyganów, skłonnych do włóczenia się z nimi po świecie. Koszary i ma-

neże ku temu urządzić przy zapomodze książęcej. 5) spełniać rozkazy księcia, czy to ustnie przez posłańców czyli też na piśmie wydawane itd. itd.

Akademia smorgońska miała pod rządem króla cygańskiego dobre powodzenie. Z dóbr książęcych przysyłano tu łapane po lasach młode niedźwiedzie na edukacyę: było ich nieraz po kilkadziesiąt w koszarach, były też przysyłane przez księcia małpy. Maneż, to jest miejsce nauki sztuk gimnastycznych, codziennie był czynny. Kilkunastu cyganów było na etacie służby, tak pod względem hodowli tych zwierząt, jako też pod względem ich nauki. Wychowanie i nauka praktyczna sztuk gimnastycznych rozciągała się do lat sześciu. Na ten czas wybrani mistrze, cyganie, za patentem przez swego króla udzielonym, rozchodzili się w różne strony z niedźwiedziami i małpami, iżby zabawiać ludzi swojemi sztukami, a zbierać, ile się da grosiwa od widzów, tak na utrzymanie siebie i tych zwierząt, jako też na opłatę do kasy smorgońskiej, którą król cygański ustanawiał i pobierał na rzecz utrzymania akademii.

O ilości tej opłaty i o ilości zapłaty za niedźwiedzia lub małpę, jeżeliby który z cyganów przez niedozór lub złe utrzymanie w podróżach utracił, trudno się dowiedzieć. To tylko pewna, iż każdy z takich włóczęgów powinien był powracać do Smorgoni na Wszystkich Świętych, aby tu w spokojności odbyć zimówkę, poczem znowu się mistrze z niedźwiedziami tymi samymi lub nowo wyuczonymi w szeroki świat rozchodzili.

Niedźwiedzie na swobodzie w lesie, według swojej przyrody zwykły obiegać, jakby zasypiać na zimę, od pierwszych śniegów, aż do ich roztopienia, więc też akademia miała wakacye konieczne od 1 listopada do 15 lutego, a jak dziki niedźwiedź ściele w lesie dla siebie łomowisko na zimę i w niem oblega, tak też w koszarach smorgońskich sypano dla chowanych kupy liści i gałęzi jodłowych, a raczej świerkowych, w których się na czas zimowy zagrzebywały.

Nie tylko cyganie byli posłuszni swemu królowi, poważali go i bali się, jak się wyżej wzmiankowało, ale bały się go też wszystkie niedźwiedzie.

Bywał on często na ćwiczeniach w maneżu, a skoro tylko wszedł, skromniutkie były jak trusie! Zuchwalca niedźwiedzia, gdy choć raz batogiem pociągnął, to niedźwieć ledwie ze skóry nie wyskoczył.

Tak jak wszyscy cyganie znali swego króla, tak też go znały wszystkie niedźwiedzie. Grzecznych traktował bardzo łaskawie: dawał im z rąk łakocie, które ze sobą przynosił; niektóre nawet z jego przybycia widocznie były ukontentowane — on też przyjmował chętnie ich karesy i przymilania.

Najpoufalsze do tego władcy były małpy, których bywało w hodowli po kilkanaście. Za pokazaniem się jego, na wyścigi prawie wskakiwały mu na ręce, na ramiona, na głowę i plądrowały po kieszeniach, ażali łaskawy pan nie przyniósł dla nich z swej łaski gruszek, jabłek lub obwarzanków, albo nowego jakiego odzienia kolorowego, w które, zwyczajnie jak małpy, stroić się lubiły. On też dla nich był bardzo grzeczny, nigdy ich za nic nie karał, nadzwyczajnie był łaskaw dla tych cudzoziemców.

Chcąc sprawić przyjemność księcu, król cygański wyuczył kilka niedźwiedzi chodzi w zaprzęgu i ciągnąć za sobą powóz; laufrem naprzód takiej niedźwiedziej szóstki był cygan, stangretem małpy. Gdy tak niespodziewanie król cygański zajechał na dziedziniec zamku nieświeskiego, tak dalece był książę i zdziwiony i uradowany, że go po królewsku traktował i nadskakiwał, mówiąc:

— Panie kochanku, królu miłościwy! jesteś u mnie gościem, jakich u nikogo na świecie nie bywało; przybyciem swojem zrobiłeś mi zaszczyt, godny chwały w potomne wieki!

Uradowany książę Panie Kochanku ucztę, na jeden dzień przygotowaną, przeciągnął na dni kilka i sam tym

ekwipażem królewsko-cygańskim jeździł z zamku do Alby, swego letniego pałacu, wśród otaczających go dworzan i zgromadzonej szlachty, tudzież tłumów nieświeskiego ludu.

Książę Karol Radziwiłł z zapałem przywiązany był do kraju i gotów mu był wszystko poświęcić, czego dał dowód w konfederacyi barskiej, w czasie, kiedy przekonany, że dla dobra powszechnego pracował, i osobę swoją stawiał i kilkanaście milionów uronił. Lubił wszystko co nasze, aż do stroju, który do śmierci nosił wedle mody litewskiej, wstręt mając do nowości i odmian.

Miał on zwyczaj synów obywatelskich lub swoich klientów, — a kto w Litwie nie był klientem radziwiłłowskim? — szlacheckie dzieci, a nawet ludzi innych stanów, gdy się tylko w nich talent odkrył, wysyłać za granicę dla wykształcenia. Boło takich niemało, którzy kosztem jego wysyłani, zostali później użytecznymi dla kraju obywatelami.

Ile razy się trafiło, że taki wojażer powracał do Nieświeża i zameldowano o nim księciu, zaraz obróciwszy się do swoich dworzan, wołał:

— Panie kochanku, pójdź no zobacz, czy z kosą? (hartbeutlem) czy w pludrach? (tj. przebrany z francuzka po niemiecku).

Wiedział to dobrze i rozumiał książę, że byłoby może śmiesznością za granicą artyście, podróżnemu uczniowi, ukazywać się w kontuszu, boby go palcami wy tykano, ale powróciwszy do domu i mając się księciu wojewodzie przedstawić, potrzeba było koniecznie wziąć żupan i kontusz buchasty, głowę wygolić, szablę z furdymentem przypasać i łosie rękawice za pas zatknąć: bez tego nic, wyprawionoby go z kwitkiem z Nieświeża.

W Warszawie, zwłaszcza na dworze królewskim,

nie lubiono księcia wojewody wileńskiego dlatego, że był zaciętym nieprzyjacielem ówczesnej mody, drwił z upudrowanych głów, długoogoniastych fraków i trzewików, które w miejsce stroju polskiego, za przykładem króla, kraj cały przywdziewał. Uważano księcia za nieoskrzesanego barbarzyńcę i nazywano go litewskim niedźwiedziem.

Książę wiedział o tem, ale bynajmniej nie myślał o odmianie stroju i staropolskiego obyczaju, a modnisiom warszawskim przy sopsobności nieraz dobrą dał nauczkę, aby popamiętali litewskiego niedźwiedzia.

Było to w zimie, w porze do łowów najlepszej. Książę wojewoda z kilku towarzyszami wracał z myśliwskiej wycieczki, a wesoła rozmowa ożywiała całe grono. Wtem nadjeżdża dworzanin z zamku i daje znać, że przybył do księcia poseł od króla jegomości.

— Chyba się waści przyśniło, panie kochanku, rzecze książę, po coby tu pan Ponitowski posła do mnie wyprawiał?

— Sam ksiądz Kantembryng, odpowie dworzanin, kazał mi dać znać księciu panu.

— A widziałeś waść tego pana posła?

— Na własne oczy.

— I jakiż? Pudrowany?

— A juścić, książę panie, odpowie dworzanin, upudrowany co się zowie; wysoki, na cienkich nóżkach, a łeb ma pelechaty jak baran.

Towarzystwo książęce parsknęło głośnym śmiechem.

— I do tego Włoch. Ksiądz Kantembryng po włosku z nim rozmawia.

— Spieszmy, spieszmy do zamku, rzecze książę; trzeba się dowiedzieć, co to za bieda tego Włocha przygnała o tej porze?

— Jakiś zuch, kiedy się naszej zimy nie boi, ozwie się jeden z książęcej drużyny.

— Panie kochanku, rzecze książę, może on zuch dla-

tego, że jeszcze nie widział litewskiego nidźwiedzia.

— Wartoby mu pokazać.

— Spróbujmy, spróbujmy, panie kochanku; nie godzi się być w Rzymie, a papieża nie widzieć, być na Litwie, a nie widzieć niedźwiedzia.

Za przybyciem do zamku książę przyjął posła w wielkiej sali i odebrał listy królewskie. Włoch napomknął, że król jegomość radby księcia wojewodę zobaczył w Warszawie, ale napróżno oczekuje.

— Moja wina, moja wina, panie kochanku, rzecze książę, ale co po psie w kościele, a po niedźwiedziu w stolicy?

Włoch, uderzony tonem, jakim książę wymówił te słowa, wpatrzył się nań w milczeniu książę zaś, posłyszawszy, że w drugiej komnacie nakrywają do stołu, szepnął dworzaninowi: każ waszmość zastawić co najlepszego, żeby nas Włoch nie obgadywał po Warszawie, że u Radziwiłła kapcański obiad.

Wreszcie dano znać, że już obiad na stole. Książę poprowadził posła do jadalnej komnaty, posadził go przy jednym końcu stołu, a sam usiadł przy drugim i nuż zachęcać Włocha do jadła i napitku.

Po jednym i drugim kieliszku podochcił sobie poseł i książę wpadł w wyśmienity humor. Dworzanie i przyjaciele stali do koła i wszystkich ożywiała wesoła rozmowa. Książę wypytywał Włocha, jak mu się podoba na Litwie, a dworzanie nie szczędzili biedakowi przycinków, żartując z jego fraka i upudrowanej głowy. Włoch bronił się, o ile śmiał i mógł.

— A widział waść kiedy, panie kochanku, litewskiego niedźwiedzia? — zapyta go książę.

— Nie, odrzekł Włoch, ale wiem, że jest to zwierz, jak każdy inny, jak pies, jak kot, jak mysz!...

— Ha! ha! ha! — parsknęło całe grono głośnym śmiechem.

— Całkiem jak mysz, — zgadł waszmość wyśmienicie.

— Ale przecie większy od myszy.

— Do kota podobny, tylko znowu trochę mniejszy.

— No! to więc jak królik — powie Włoch, zniecierpliwiony szyderstwem Litwinów.

— Ba, panie kochanku, ale na wielu nogach chodzi?

— Jak każdy zwierz, na czterech, rzecze poseł.

— Alboż to każdy zwierz na czterech nogach chodzi? v v vv

— Waszmość jesz teraz indyka, wszak indyk także zwierz, a ma tylko dwie nogi; u nas sa takie zwierzęta, co tylko na jdnej nodze chodza.

— Niedźwiedź także na dwóch nogach chodzi — rzecze jeden z dworzan.

— Nie wierzę, panowie ze mnie żartujecie, powie Włoch.

— Pan poseł nie uwierzy, aż zmierzy.

— A możeby waszmość, panie kochanku, chciał obaczyć niedźwiedzia? Przecież to warto widzieć na wielu nogach chodzi.

— Ekscelencyo! odpowie Włoch, niech sobie chodzi, na wielu chce, ja mu nie przeszkadzam — i uśmiechnął się, aby zataić gniew.

Śmiech donośny zabrzmiał w komnacie.

— Ale cóż to ja widzę? ozwie się książę, mój gość, panie kochanku, nie ma talerza. Oj, kapcańska służba u Radziwiłła.

Jeden z dworzan poskoczył do stołu, ale książę dał mu znak, aby się wstrzymał.

— Gdzie batko? Batku! zawoła książę, klaskając w dłonie, pokaż, co umiesz — pójdź odmieni talerz gościowi!

Na te słowa ogromne, kudłate niedźwiedzisko wtoczyło się za gościem W komnacie panowało najgłębsze milczenie.

Włoch obejrzał się, krzyknął z przerażenia i wraz z krzesłem, na którem siedział, upadł na ziemię, obaczywszy po raz pierwszy w życiu to tak bardzo do psa,

kota, królika, a szczególniej do myszy podobne zwierzątko.

Otrzeźwiono go zaraz, ale już nie zdołano nakłonić, aby dokończył obiadu. Wystraszony, nie czekał nawet, aż książę wygotuje odpowiedź na listy królewskie, i czemprędzej, jeszcze tego samego dnia, wyjechał z Nieświeża z powrotem do Warszawy.

Podobnie jak tego Włocha, niejednego cudzoziemca nastraszono w zamku nieświeskim. Książę Karol Radziwiłł trzymał bowiem na swoim dworze wiele obłaskawionych i rozmaite sztuki umiejących niedźwiedzi, które usługiwały do stołu i pełniły obowiązki straży honorowej w bramie wjezdnej, gdzie ustawione szeregiem na tylnych łapach, kiwały przednimi na powitanie gości. Czy jednakże żarty podobne, jak straszenie Włocha, były bardzo stósowne dla wojewody, to inne pytanie.

ROZDZIAŁ V.

Figiel ks. Panie Kochanku. Dzwon w Mirze. Obchód stuletniej rocznicy pobicia Turków pod Wiedniem. Skarb nieświeski. Imieniny brata. Przyjęcie króla w Nieświeżu. Podróż książęca do Szemetowszczyzny. Wspaniałe łowy. Książę obrońcą chłopów. Słynna gościna. Swaty i żarty.

W roku 1782, gdy stosunki księcia wojewody z królem, któremu nikt teraz w kraju nie stawiał przeszkód, znacznie się już poprawiły, pojechał książę na sejm do Warszawy.

Jeden z panów koronnych, Sułkowski, jak to już wspomnieliśmy, nazywał księcia Karola „niedźwiedziem litewskim". Pragnąc mu teraz odpłacić, książę kazał w Warszawie cztery przywiezione z sobą niedźwiedzie zaprządz do karety i wtedy, gdy pan Sułkowski był już w zamku, na dziedziniec zamkowy zajechał.

Zaledwie się pokazał, konie rozhukane połamały karetę p. Sułkowskiego. Powstały krzyki i wrzawa. Król wysłał pazia, żeby się dowiedział o powód rozruchu. Paź wraca i donosi, że książę Karol Radziwiłł zajechał czterema niedźwiedziami.

Król, znając dziwactwa księcia Karola i że wiedział już o jego teraz życzliwości dla siebie, nie zrobił mu żadnej wymówki, a pan Sułkowski dostał za swoje!..
— Za to książę powróciwszy do domu, posłał królowi w podarunku bardzo piękny serwis szklany do stołu,

z fabryki szkła, założonej w Nalibokach przez babkę skiem, opowiadał żartobliwie, że także wojował z poswoją, księżnę Annę, z Sanguszków Radziwiłłową.

O cztery mile od Nieświeża jest miasteczko Mir, wspominane tu nieraz, a w nim dzwon, o którym za życia księcia Karola taka chodziła gadka.

Książę Panie Kochanku, co jeździł po cudzych krajach i bił się w kraju z rosyjskiem i królewskiem wojganami.

Wówczas tak mu raz miało przyjść kuso i niebezpieczno (zapewne z owemi wojskami), że różne czynił śluby pobożne, aby cudem Boskim ujść pewnej zguby. Otóż ślubował wtedy kościołowi mirskiemu taki dzwon, aby, gdy w Mirze na rezurekcyę zadzwonią, w Nieświeżu słychać było, a to cztery mile przecie!...

Kiedy powrócił z tułactwa do Nieświeża, kazał zaraz lać dzwon w Mirze; ulali jeden, dzwonią na próbę — nie słychać w Nieświeżu. Panie Kochanku dodaje złota i srebra do materyału, każe ulać drugi, większy; znowu leją i znowu dzwonią cały dzień — nie słychać! — leją więc dzwon trzeci.

Tymczasem jednego wieczora Panie Kochanku, w dobrym będąc humorze, baraszkował sobie między swoimi i łgał, na czem świat stoi, bo to już taki jego był zwyczaj, a trzeba też wiedzieć, że przesąd ludzki jest taki, iż kiedy gdzie dzwony leją, trzeba łgać różne nowiny; gdyby daleko się rozchodziły, to i głos od dzwonów tak rozchodzić się będzie. — Otóż kiedy książę prawił sobie i kazał wszystkim wierzyć, i gdy już przebrał miarkę, nie dotrzymał mu jego koniuszy, ulubiony dworzanin, i powiedział:

— Mości książę! mirski dzwon słychać.

Wszyscy nadstawili uszy, ale nikt nie słyszał. Książę tylko potakiwał koniuszemu i mówił:

— A widzicie waszeć, jak głośny mój dzwon! Dopełniłem ślubu regularnie.

— A jakże niema być głośnym, podchwycił koniuszy, kiedy książę pan cały dzień kłamie zapewne na jego głos i pamiątkę.

Książę nie rozgniewał się, tylko śmiejąc się powiedział do dworzanina:

— Wasan sam taki, panie kochanku!

Ale już dzwonu nie przelewał; owszem przechrzcili go Karolem, zawiesili na dzwonnicy i książę zawsze powiadał: „Słychać Karola w Nieświeżu“. A kiedy kto zaprzeczył, to mówił: — Co ja winien ,panie kochanku, że waść nie masz takiego słuchu jak pan koniuszy? — a prawdę mówiąc, nie kłamał książę, bo jak wiadomo, i sam miał imię Karol, a kiedy zaczął huczeć po swojemu, to słychać było Karola w Nieświeżu!

Ważną i ciekawą uroczystością w Nieświeżu był w r. 1783 obchód stuletniego jubileuszu zwycięstwa Jana III pod Wiedniem Obchodzono go świetnie w całym kraju polskim, od króla począwszy. Nie dał się też uprzedzić Karol Radziwiłł, a potrafił nie samym tylko przepychem, ale i ważnością wyszłych na jaw zabytków po Janie III zainteresować publiczność. Drogocenne pamiątki te weszły w dom radziwiłłowski po Janie Sobieskim, gdy syn tegoż, Jakób, przez córkę swą spokrewnił się z Radziwiłłami.

Drogie po bohaterskim królu sprzęty i pamiątki wystawiono dnia tego ze skarbca na widok publiczny i złożono na tronie pod aksamitnym baldachimem. Były tam: 1) portret oryginalny króla Jana. 2) pod portretem francuski order św. Ducha. 3) tarcza czyli Janina, herb Sobieskich. 4) laski dwie marszałkowskie króla Jana. 5) szabla króla Sobieskiego i szabla Żółkiewskiego 6) buławy dwie tegoż króla 7) dwa buzdygany tegoż. 8) dwa buńczuki, jeden króla Jana, drugi turecki pod Wiedniem

wzięty. 9) dwa muszkiety tureckie. 10) dwie pary pistoletów króla Sobieskiego. 11) dwa bułaty tegoż. 12) bębenek króla Jana, który miewał przy siodle w potyczkach, dla wołania do siebie adjutantów. 13) tarcza tegoż króla perłami sadzona. 14) sahajdak i łuk turecki 15) chorągiew turecka. 16) drugi sahajdak i łuk turecki. 17) druga chorągiew turecka. 18) worek króla Jana na wodę, który miewał przy sobie podczas potyczek. 19) płaszcz francuskiego orderu św. Ducha z aksamitu czarnego z złotymi promieniami, od Ludwika XIV, króla francuskiego, królowi Janowi przysłany. 20) kapelusz perłami sadzony, od tegoż króla razem z pomienionym orderem królowi polskiemu ofiarowany. 21) szyszak i zbroja Zółkiewskiego 22) miecz od Innocentego XI., papieża, królowi Janowi przysłany, u którego rękojeść i pochwy były ze złota, z herbem papieskim itd. Nadto jeszcze na 12 dzielnych koniach przed kościołem na dziedzińcu trzymanych, znajdowały się sute rzędy, dywdyki i inne ozdoby ze złota robione, dyamentami, perami, rubinami, szmaragdami i innymi drogimi kamieniami sadzone, od króla Jana pod Wiedniem w obozie wielkiego wezyra zabrane.

Oprócz tylu historycznych pamiątek, skarbiec nieświeski słynął taką do wiary trudną mnogością bogactw, że o nim powtarzano: „kto morze wysuszy?" Było tam np. dwunastu apostołów i czterech ewangelistów ze szczerego złota, na dwa łokcie wysokości, lichtarzów kościelnych dwanaście wielkiej miary, miednica i nalewka, monstrancye, kielichy, patyny, trybularze, ampułki, a wszystko to z najprzedniejszego złota. „Widziałem w Nieświeżu, mówi nadworny Radziwiłła poeta Leśniowski, stół wielki, okrągły, na osób przynajmniej dwanaście, a nie dosyć, że sam stół jest srebrny, ale nawet nogi jego i podnóżki staroświecką robotą, jak z żelaza, z srebra kowane".

Tegoż r. 1783 wystąpiły znowu na jaw bogactwa i przepych radziwiłłowski, podczas obchodu imienin brata księcia Karola, Hieronima Radziwiłła, podkomorzego litewskiego.

Rano, po setnym z armat wystrzale, książę wojewoda wileński, oświadczywszy bratu swemu powinszowanie, wyjechał z nim do Zausza na spotkanie szwagra swego, Morawskiego, marszałka trybunału w. ks lit., poczem razem przy biciu z dział powrócili napowrót do zamku nieświeskiego.

Około południa książę Hieronim odebrawszy od licznych gości powinszowania, udał się do parafialnego pojezuickiego kościoła. Poprzedzał go naprzód szwadron kawaleryi, potem prowadzono dwanaście dziwnie dzielnych koni jezdnych, w rycerskich dywdykach rubinami, perłami, szmaragdami i innymi drogimi kamieniami sadzonych, przy dwóch masztalerzach do każdego konia przydanych; za jednymi końmi szło dwanaście paradnych karet, wszystkie poszóstne, z srebrnemi i złocistemi szorami, z assystującymi przy każdej karecie lokajami; naostatek było na 50 gościnnych karet.

Gdy książę podkomorzy przybył z całą kompanią do kościoła, powitany był od księdza Kantembrynga, proboszcza tutejszego, kanonika smoleńskiego, poczem nastąpiła msza św. i „Te Deum laudamus", przy dawaniu ognia z dział i ręcznej strzelby.

Za powrotem, z równą paradą do zamku, dano kosztowny obiad u dwóch stołów, jeden na 100, drugi na 60 osób, gdzie spełniano zdrowie przy biciu z armat. Wieczorem nastąpił teatr, potem kolacya, naostatek tańce, aż do godziny trzeciej rano trwające.

Ale najbardziej pamiętnym dla Nieświeża wypadkiem była tutaj bytność króla, jadącego na sejm do Grodna w sierpniu 1785 r.

W kasie króla Stanisława Augusta Poniatowskiego

pod te czasy były straszne pustki, z powodu trwonienia pieniędzy na różne zbytki, ale też i na potrzeby krajowe. Wpadł w smutne i prawie sromotne długi. Jedyną nadzieję widział w przychyleniu się sejmu do spłacenia tych długów ze skarbu Rzeczypospolitej. A była to suma niemała, bo wynosiła aż 7 milionów złp.

Żeby sobie zapewnić większość głosów szlachty na sejmie, król zakrzątnął się żwawo tu i owdzie. Chodziło mu też bardzo o to, aby na Litwie sobie większość posłów przejednać, a któż tam mógł mu najskuteczniej dopomódz, jeśli nie największy litewski potentat, książę wojewoda wileński, tak ukochany przez szlachtę!

W tym celu postanowił Stanisław August odwiedzić Wilno, a przytem Radziwiłła w Nieświeżu. Zawczasu dał tam znać o swym przyjeździe. Książę z radością i dumą przyjął tę wiadomość i przygotował się wspaniale!

Karol Radziwiłł na przyjęcie króla wystąpił z całym przepychem, jakiego przeszłość nasza mało stawia przykładów. Przez mil sześć szlachta litewska z Radziwiłła wojskami stanowiła orszak nieprzerwany prawie. Od pierwszego kopca granicznego dóbr swoich, ustawił książę wieśniaków blizko jeden drugiego, tak, aby jak pierwszy zawołał, drugi dosłyszał.

Kiedy pierwszy dojrzał dostojengo gościa w karecie, na czele długiego szeregu innych pojazdów i zbrojnego orszaku, a krzyknął: „król jedzie!“ — rozgłos ten przez mil sześć przeszło w ćwierć godziny doszedł do uszu księcia w Nieświeżu. Podstarościowie i ekonomi utrzymywali wśród tego ludu porządek.

Bezustanne strzały armatnie z murów zamkowych witały nadciągającego króla. Sam pan wojewoda wyjechał naprzeciw niemu na pysznym, arabskim rumaku, w złotem wędzidle, w rzędzie klejnotami wysadzanym, o podkowach ze szczerego złota. Miał na sobie mundur niemała! Guzy brylantowe przy żupanie, spinka, karabela, (szabla) sadzona w drogie kamienie, szlifa, co trzy-

mała wstęgę od orderów i pióro na kołpaku. warte były milion sześć kroć sto tysięcy złotych, a rzęd wraz z przyborami i koniem samym może na tyleż albo i więcej był cenionym.

Przybyła cała szlachta z wileńskiego i dalszych stron, a najgromadniej wystąpił powiat oszmiański i nowogrodzki. Stanęło nadwornej piechotv ksiecia 6000 w nowych mundurach oprócz jazdy. Brzmiały kapele wlo skie, dobrze i więcej niż zwykłe obsadzone. Miasto nie objęło wszystkich, stali więc w polach pod namiotami. a gdyś spojrzał na tę mnogość narodu, myślałbyś, że to nowa elekcya.

Podczas drogi, zaczęło się ściemniać na dworze. mówił więc król do Radziwiłła, który mu wciąż konno towarzyszył i zabawiał, że bardzo ciemny wieczór się robi, prawie jak noc.

— Zaraz, najjaśniejszy panie, świtać będzie, odpowiedział książę i niezadługo wprowadził króla w długą aleję wspaniałych drzew, oświetloną lampami, samą oliwą napełnionemi, która gorzała światłem aż do pałacu, który także jak i całe miasto Nieśwież był wspaniale iluminowany. Kosztowało to oświetlenie do 40 tysięcy złotych pol.

Za zbliżeniem się gości do miasta, uderzono we dzwony, armaty z murów i wałów ciągle grały, a chorągiew z herbem Radziwiłłów powiewała na zamku. Za trzymał się król przed farą. Przyjąwszy święconą wodę z rąk proboszcza. ks. Kantembrynga, zstąpił w progi kościoła, prowadzony przez księcia, poczem usiadł na przygotowanym tronie. Tron otaczało sześciu rycerzy olbrzymiego wzrostu, od stóp do głów w stalowe zbroje przybranych. Po krótkiej modlitwie króla, ks. Kantembryng przemówił doń pięknemi słowy, które dotąd w starych księgach są przechowane

Między gośćmi, przybyłymi z królem i zaproszonymi przez księcia Radziwiłła, znalazło się kilku wojewodów, kilku kasztelanów, książąt, generałów polskich i

biskup książę Massalski, książę stolnik Czartoryski, krewni księcia i wiele pań świetnego rodu. Honory domu czyniła siostra księcia, Teofila Morawska.

Pragnął wtedy książę Panie Kochanku wszystkie bogactwa i starożytności domu swego na oczy wysadzić, dlatego kazał otworzyć skarbce swoje: kredensa szczerozłote, stoły, zasłony do kominków, krzesła ze szczerego złota lane, obicia by malowane wizerunki, a tego było pełno w pokojach dla króla i gości przeznaczonych.

Osobliwości skarbca były ułożone w sześciu ogromnych izbach: leżały tam stosami konwie złociste midnice, puhary i kredens z drogocennemi zastawami i przyborami do stołu; książęce mitry czyli korony zawieszono na chorągwiach, przez przodków zdobytych. Okazano też w drogich oprawach relikwie świętych; stały szafy pełne pereł, dyamentów i innych drogich kamieni; osobno arsenał starożytnej broni i zbroi; osobno zamorskie cuda, suche ciała ludzkie balsamowane (mumie) z za morza, śliczne, chińskie lalki porcelanowe z kredensem malowanym w guście chińskim.

W masztalerni znów bogate rzędy na konie, sadzone drogimi kamieniami, siodła różnorodne, szacowne, czapraki złotem przeszywane.

Gdy w pokojach ukazywano królewskiemu gościowi bogactwa liczne, cebry i wanny srebrne, książę pokazał też posągi szczerozłote Chrystusa i apostołów. Ale król naliczył ich dziesięć tylko, bo książę dla żartu, dwóch kazał schować.

Król, widząc, że książę Panie Kochanku do zbytku bywał hojnym i na wychodźtwie dużo stracił, zastawiając nawet swoje klejnoty, zapytał z uśmiechem:

— Gdzie się podziali dwaj apostołowie? zapewne poszli opowiadać ewangelię świętą niewiernym?

— Nie, najjaśniejszy panie, odpowiedział dowcipem na dowcip Radziwiłł, wysłałem ich w świat, ażeby opowiadali chwałę i sławę waszej królewskiej mości.

Dworzanie unosili się nad tą pochwałą, ale drudzy uważali to za dobrą przymówkę, boć panowanie Stanisława Augusta bynajmniej sławnem nie było.

Po wieczerzy udał się król i goście do swych komnat na spoczynek. Rano budzi się Poniatowski, patrzy wkoło siebie i widzi, że śpi w swym pokoju w Warszawie, a cała podróż do Nieświeża snem mu się zdawała. Pokój ten albowiem był zupełnie tak samo umeblowany jak jego w Warszawie.

Gdy tak król sobie o mniemanym śnie rozmyśla, wchodzi książę Panie Kochanku.

— A książę co tu porabia? król zapyta. — Myślałem żeś do Nieświeża się udał, a mnie się nawet śniło, że razem z tobą jechałem.

— Tak jest ,najjaśnieszy panie, odpowie Radziwiłł nie sen to, ale rzeczywiście znajdujemy się w Nieświeżu.

Król zrywa się z łóżka, biegnie do okna i naocznie się przekonuje, że jest rzeczywiście w Nieświeżu.

— A książę! — rzecze król, uśmiechając się, — a toś mi dopiero figla wypłatał, ale był z tej niespodzianki bardzo zadowolony.

Wśród uczt okazałych, wśród różnych zabaw, wśród tańców, przedstawień teatralnych, spełniań zdrowia puharami, ostrzeliwanymi z armat i ręcznej broni, upłynęło dni parę, poczem wyprawił książę łowy, godne swego królewskiego gościa.

Już wcześnie polecił wojewoda Kuleszy, łowczemu puszcz wileńskich, by nakazawszy gromadom pilnowanie lasów, stawił się do Nieświeża ze wszystkimi strzelcami. Nakazano im mieć z sobą żywność, chleb na dwa tygodnie, a wszystko to pod utratą łaski.

W uroczej dolinie Alby, w zwierzyńcu, wyprawiono te łowy. Dawniej były w zwierzyńcu albańskim jeno daniele, ale teraz kazał książę wojewoda nagnać tu grubego zwierza z puszcz wileńskich i innych. Aż ze Słucka i pobrzeżnych Polesia puszcz obławy zapędzały zwierzęta w przygotowane zasieki; od tych rozciągały

się przez mil kilkanaście aż do zwierzyńca w Albie wązkie ulice, ustawione z sieciowych, wysokich parkanów, i gęsto z obu stron osadzone ludźmi. Nagnany zwierz dziki wstępować w nie musiał; niedźwiedzie, łosie, odyńce-dziki, a nawet mniejsza zwierzyna szła w tę zagrodę, jak bydło do obory; z każdej strony ciśnięto je i gnano.

W zwierzyńcu zbudowano wspaniałą altanę dla króla i znakomitych gości. Nadzwyczajny siłacz, generał Judycki, stojąc blizko altany, biegnącego niedźwiedzia przebił oszczepem. Osadził go na ziemi i krzyknął: „strzelaj, królu!“

Dowód takiej siły zadziwił monarchę i wszystkich; nie strzelił jednak król, bo się lękał niebezpiecznego strzału do zwierza, pasującego się z Judyckim, dobił go więc w łeb z pistoletu obok stojący Cechowicz, a król ranił innego, srogiego niedźwiedzia, drugą linią napędzonego na altanę.

Wieczorem na jeziorku albańskiem urządził książę sztuczne wzięcie Gibraltaru, naśladującego twierdzę słynną angielską w Hiszpanii, nad morzem położoną

Albański Gibraltar był zbudowany w środku jeziora na wysypanej wysepce i obsadzony wojskiem, a z dużych łodzi, nakształt okrętów, strzelali doń marynarze z armat, a ci i tamci, rzecz prosta, strzelali ślepemi nabojami, samym prochem. Nareszcie wojsko z łodzi zdobyło twierdzę, a wspaniałe fajerwerki, ognie sztuczne, bardzo piękne, oświetlały długo jezioro, twierdzę, zwierzyniec i tysiące zgromadzonych ludzi.

Podczas tego wspaniałego przyjęcia pogodzili się ostatecznie i już niezmiennie książę z królem. Dawniej, jak nam wiadomo, nie lubił go Panie Kochanku i nie stroił się, gdy na dwór przybywał. Zwykle nosił wtedy żupan materyalny, biały, zatabaczony i poplamiony, a na tym kontusz mundurowy wileński, wytarty.

Raz, gdy był w usposobieniu weselszem, radził mu król, aby o zwierzchnie szaty dbał więcej.

— Mości królu, odparł książę, ten kontusz już trzynasty z kolei Radziwiłł wojewoda wileński nosi, to nie dziw, że się podstarzał. (Była to przymówka do niezbyt dawnego szlachectwa rodu Poniatowskich).

Ale teraz po tem przyjęciu w Nieświeżu, które przyćmiło i zakasowało wszystkie poprzednie uroczystości w kraju, zapanowała szczera, przyjacielska zgoda między królem a księciem wojewodą.

Nic też dziwnego, że po uroczystości nieświeskiej królowi i jego stronnictwu udało się także zwycięstwo na sejmie w Grodnie, na którym Rzeczpospolita przyjęła z jego długów prywatnych siedm milionów na siebie.

Odtąd, gdy sobie kto pozwalał w obecności księcia jakich przymówek i żartów z króla, książę wtedy spozierał z pode łba z niezadowoleniem i niewczesne żarty karcił, mówiąc niejako z nadzwyczajną powagą:

— Panie kochanku! Radziwiłł przyjmował króla polskiego!... trzeba to wiedzieć i znać, panie kochanku.

Przyjęcie króla Poniatowskiego w Nieświeżu była to prawdziwie ostatnia uczta magnacka w dawnej Polsce. Podobno samo owo zdobycie Gibraltaru kosztowało księcia milion złotych. Ile zaś kosztowało całe przyjęcie dostojnego gościa, które przez sześć dni trwało, to żaden rachmistrz nie policzy.

Ale nie pierwszy to raz wydawał książę tyle pieniędzy! Ogromne sumy kosztowały go też pogrzeby: ojca, macochy, księcia Hieronima, brata przyrodniego, a też wspaniałe sióstr wesela. Dość też wspomnieć, że gdy odbywał książę w Nieświeżu nabożeństwo żałobne za dusze swych rodziców i krewnych, przez tydzień cały odprawiało się codzień kilkaset mszy, a każdy ksiądz, oprócz stołu i wszelkich wygód, dostawał za mszę czytaną dukata, a za śpiewaną 50 czerwonych złotych.

Podczas przyjęcia króla w Nieświeżu, pomiędzy zaproszonymi gośćmi znajdował się także i pan Sulistrowski, pisarz wielki litewski, szczery przyjaciel księcia wojewody Prosił on w imieniu swojem i całego powiatu oszmiańskiego, aby go raczył książę uszczęśliwić swoją bytnością w Szemetowszczyznie, jego majątku, wybrawszy na to czas podług swej woli, ale jednak niedaleki, aby się na samej obietnicy nie skończyło.

— Panie kochanku, rzekł książę, pomyślawszy nieco i pokręcając wąsa, przyjmuję z ochotnem sercem zaprosiny waszmości, a za jednym zachodem popolujemy w mojej puszczy żuprańskiej, której, Bogiem a prawdą, nie znam jeszcze dotąd. — A wielkaż to puszcza, panie kochanku?

Sulistrowski pokiwał głową, myśląc w duchu: mój Boże! nie wie, czy wielka jego puszcza żupráńska? — Włok kilkaset, odpowiedział, i właśnie jej to wychowańce dostarczają uczniów do sławnej akademii smorgońskiej. Prócz tego obejrzysz jeszcze, książę, obszerne swoje dobra tamtejsze: Żuprany, Nowosiołki, Smorgonie, a które niemniej warte są oblicza i oka pańskiego.

— Panie Alojzy, rzekł wzruszony książę, ściskając rękę Sulistrowskiego, będę w Szemetowszczyznie i to nie dalej, jak za kilka tygodni. Verbum nobile! panie kochanku.

In gratiam tej solennej obietnicy, wesołość i księcia i całej kompanii się podwoiła. Uderzono zatem w kielichy i dzień zakończył się staroświeckiem: kochajmy się!

Powiadają, że książę hiszpański, di Medina Celi, mógł przejechać całą Hiszpanię, nie nocując nigdy ani na cudzej ziemi, ani w cudzym domu. Toż samo możnaby powiedzieć o Radziwille, podróżującym po Litwie.

Książę Karol, lubo pozbawiony już wielkiej części dóbr swoich, mógł jeszcze od Niemna ku Dźwinie i od

Niemna ku Wiśle podróżując, nocować prawie zawsze, jak ów grand hiszpański, na swojej ziemi

Podróże jego, gdy jeszcze myśliwstwo się do nich łączyło, szły obozowym taborem. Najprzód z każdego noclegu z kilkunastu konnymi wyprawiali się: stanowniczy, marszałek i łowczy. Stanowniczy znaczył za sobą wiązkami słomy drogę, gdy ta na manowce schodziła, obierał i zajmował kwatery. Miasteczka i wsie rade były gościom, po których zawsze znaczna gotówka zostawała. — Marszałek przysposabiał żywność i wszelkie wygody dla księcia i całej jego kalwakaty. — Łowczy nakoniec jechał do lasów i kniei, i jak tamten słomą, ten gałązkami jedliny znaczył za sobą kierunek.

Takim właśnie obyczajem wyprawił się książę do Szemetowszczyzny. — Pan Alojzy Sulistrowski, odjeżdżając z Nieświeża, zamówił w miasteczku żyda, który leciał dniem i nocą, dając znać o wyjeździe księcia z miejsca. A że podróż, z górą trzydziestomilowa, polującemu z licznem, a po drodze pomnażającem się codzień gronem przyjaciół, i z powoli posuwającym się taborem, z dziesięć dni trwać mogła, przeto pan Sulistrowski miał czasu dosyć do zaproszenia licznej kompanii i przygotowania się na przyjęcie tak dostojnego gościa.

Przybył nareszcie książę do Żupran i sam się zadziwił, że tak obszerna puszcza dotąd mu znaną nie była i nie zabrzmiała jeszcze jego myśliwską trąbką, a w której ośm niedźwiedzi, prócz innej grubej zwierzyny, na jego przyjazd osaczono

— Panie kochanku! — rzekł on, — każę, aby niedźwiedzie żuprańskie odtąd na zimowe leże do albańskiego zwierzyńca przychodziły, bo żadnej o sobie wiadomości memu jeneralnemu łowczemu nie dają.

— Akto im da charcz (żywność) na taką daleką wędrówkę? — zapytał, śmiejąc się pan Ważyński, podkomorzy oszmiański, zawołany myśliwy, który zajechał drogę księciu około Holszan, w dobrach swoich, i jako

zaproszony do Szemetowszczyzny przyłączył się do książęcego orsaku.

— A ci, panie kochanku, dadzą im charcz, którzy dotąd skóry ich kradli i łapy ich jedli, odpowiedział książę, prowadząc okiem z ukosa po swem zawstydzonem myśliwstwie.

Przez kilka więc dni trwało huczne i wesołe polowanie po głębokich lasach żuprańskich, od rzeki Oszmiany szeroko aż ku rzece Wilii rozciągających się. Głuche dotąd odstępy rozlegały się hasłem psów myśliwych i tryumfalnym, zwycięskim rozgłosem rogów i trąb, które echa okoliczne po suchem i pięknem jesiennem powietrzu, daleko roznosząc, płoszyły strwożonego zwierza i napędzały go na siecie i strzały.

Tymczasem około zapadłych w lesie zaścianków lub około folwarków i wsi bliższych kniejom, w których polowano, zakładano obozy. Szałasy i budy z gałęzi okrywały rozległe pola, rozjaśnione płomieniem gęstych ognisk, przed któremi wieczerzę myśliwską dla ściągających się na nocleg tłumów gotowano.

Książę, otoczony wesołą rzeszą, w najlepszym był humorze, bo dwa ogromne niedźwiedzie własną ubił ręką, a dwa drugie ranił mocno i rzucające się na strzał, stojący zawsze obok niego oszczepnicy, chłopi silni i doświadczeni, przebili.

Po dziennych zatem utrudzeniach, używał książę ochoczo i częstował hojnie braci - szlachtę oszmiańską, nie rozróżniając prawie wielmożnych od okolicznych, których mnóstwo na obławy się zgromadziło.

Ogromne misy hultajskich bigosów, pieczeni, zrazów roznoszono po szałasach, a po nich na „potuszenie“ (popłukanie), krążyły wszędzie cebry i rądle grzanego miodu, a zaprawianego imbierem i gwoździkami.

Dzielny to środek naprzeciw jesiennym, nocnym wilgociom i przymrozkom, którego i książę, dając przykład gościom, nieskąpe wychylał kufle, i którego skutkiem były najpierw szumne gwary i wrzaski, a potem twar-

de całego obozu chrapanie — wśród dogorywających ognisk, wśród warczących psów i rżących koni, wśród wozów i szałasów.

Tak cały tydzień książę, przebywszy pod gołem niebem, pożegnał nakoniec myśliwskie tłumy i w dobrańszem przyjaciół gronie wybrał się do Szemetowszczyzny.

Jechał długim, drabiastym wozem saskim. Nacisnąwszy bobrowy kołpak na głowę i obwinąwszy się burką, ani dbał o niepogody i słoty. Krytych pojazdów, a szczególnie karety, znieść nie mógł. Wóz opakowany był bronią, a za wozem biegł uwiązany koń osiodłany i wyżeł faworyt. Tak zwykle najdłuższe po kraju odbywał podróże, jeśli sanny nie było.

W kilkunastu wygodniejszych pojazdach jechali za nim towarzyszący mu zwykle z interesu lub dla przyjemności tylko przyjaciele, ale gdyby ktokolwiek z dworskich tam się umieścił, straciłby wnet u księcia łaskę i służbę. — Na wozach, podobnych do książęcego, starsi, z konia młodzi służyć mu w podróżach byli powinni.

Taka zatem kalwakata od Żupran ku miasteczku Smorgoniom, oszmiańskim jadąc traktem, mijała ostatni folwark żuprański, gdy wielka gromada włościan na drodze zebrana, upadła przed zbliżającym się księciem na kolana, a najstarszy wiekiem, papier jakiś nad głową podniósł.

— Stój, panie kochanku! — zawołał książę i wysiadł z woza.

— Co to jest, dziatki? — zapytał.

— Prośba, książę panie, do was od biednych waszych poddanych, odpowiedział czysto po polsku staruszek, schludniej od wszystkich ubrany.

— A waść co za taki?

— I ja poddany waszej książęcej mości: służyłem pajukiem u świętej pamięci księcia hetmanna ojca wasze-

go, a teraz od jego śmierci miałbym z jego dobrodziejstwa chleb spokojny na starość, ale tu nikomu zjeść spokojnie kawałka chleba nie dozwala tutejszy rządzca.

Książę czytał pilnie prośbę, a tymczasem podróżna kompania powysiadała także.

— A gdzież ten niegodziwiec? — zapytał książę, zaczerwieniony od gniewu.

— Tu oto w tym folwarku — odpowiedział stary.

Wskoczył na wóz książę i — zawracaj do dworu! — wrzasnął.

Wszyscy także ruszyli za nim, bo wiedząc o przyczynie i gwałtowności księcia, zwłaszcza dworzanie i bliscy domownicy nieświescy, poznali po jego licu i oku, że się tam bez awantury nie obejdzie, i że go hamować trzeba będzie.

Jakoż wpadł książę na ganek i spotkał tam właśnie ekonoma czyli rządzcę owego, niejakiego pana Pryżmonta, jak na jego nieszczęście z bizunem w ręce, hałasującego na parobka i obiecującego mu sto takichże własnoręcznych bizunów.

— A tyś to! — wrzasnął książę — ekonom tutejszy Pryżmont?

— Ja, jaśnie oświecony książę — odpowiedział przelękniony i zdziwiony razem, bo się nie spodziewał tych odwiedzin, a widział księcia na obławach, zatem go poznał.

— A to ty, gałganie, poganinie, obdzierasz, uciemiężasz i katujesz moich chłopków! — krzyknął książę, trzęsący się od złości

— A poczęstuję ja cię, panie kochanku, tym samym traktamentem, jakim ty moich ludzi traktujesz — sto nahajów! hej, wziąć go!

— Ależ, mości książę, on podobno szlachcic! — odezwał się ktoś z boku.

— A niech go tam dyabli porwą i z jego szlachectwem ale kiedy tak, dajcie kobierca! — nie odstąpię —

sto huncwotowi jego własnym nahajem — wołał rozdąsany.

Tymczasem wybiegła pani Pryżmontowa z dziećmi i płacząc, padła do nóg księciu... Wtem nadjechała też cała kompania.

Na widok licznych i dostojnych świadków swego uniesienia gniewnego, na skwir płaczącej niewiasty, książę się miarkować zaczął.

— Sądźcie panowie sami — rzekł — co za łotr! i czego wart? — Czytajcie.. A gdzież on, panie kochanku?...

Ale Pryżmont nie czekał poczęstunku książęcego, i zanim się koło niego zaprzątnięto, uciekł chyłkiem po zapłociu i już go więcej nie widziano.

— Ale, mości książę — rzekł Hutorowicz, pisarz ziemski oszmiański, czytając podaną sobie przez księcia prośbę — któż wie, czy wszystkie skargi włościan są słuszne?

— Jakto, panie kochanku, stary pajuk mojego ojca niesłusznych by nie przynosił, a na co innego dowodu, jak ten kańczug, który z rąk mu wyrwałem i którym miał sto wyliczyć jakiemuś tu chłopkowi? Właśnie na tę obiecankę trafiłem i chciałbym jegomości samemu oddać tę kwotę. Mówicie, że on szlachcic — fałsz, bo tchórz — uciekł!..

Roześmiali się wszyscy na ten szczególniejszy dowód w takiej okoliczności

— Mikuć — zapytał książę swego sekretarza — kto posesorem Żupran?

-- Pan Kozieł, starosta oszmiański.

— A, zacny bardzo obywatel, zapewne nie wie o tym występniku, więc napisz waść do niego, że jego ekonoma zaraz stąd wypzdzam, za to, że moich chłopków uciemiężał — że, gdy chce nadal trzymać Żuprany, niech ma oficyalistów poczciwych i chrześcijańskich, a bogobojnyh ludzi, bo już sam na to naglądać będę.

— Stanowniczy! rzekł potem do Bukowskiego, któ-

ry był zarazem i szatnym księcia, jesteś nam niepotrzebny, bo już dziś na noc będziemy w Szemetowszczyźnie, waść więc zostań tutaj. Wyprawisz mi wnet tego łotra precz, dopilnujesz, aby zaspokoił, co do joty, krzywdy słuszne włościan, a potem pospieszysz za dworem.

— To, mości panowie, nie żart, — przed sądem Boskim trzeba nam będzie wszystkim odpowiedzieć za naszych chłopków. U mnie tak, panie kochanku: poczciwa szlachta — to moi bracia, a chłopki — to moje dzieci.

— Takim sposobem, mości książę, wtrącił Kosowski, nieodstępujący księcia ulubiony trefniś, także szlachcic, takim sposobem każdy chłop waszej książęcej mości byłby naszym synowcem, na co jednak zgodzić się trudno, bo powiadają, że chłopi pichodzą od Chama, a my szlachta od Jafeta.

A mówił to, chcąc księcia w dobry humor wprowadzić.

— Od Chama pochodzą kpy, panie kochanku, i waść do tego rodowodu należysz, odrzekł książę, siadając zły i nasępiony na wóz swój, a śmiech powszechny zawstydził niewczesnego trefnisia.

Zbliżano się do miasteczka Smorgonie, własności księcia, gdzie, jak to się już mówiło, uczono niedźwiedzie tańczyć, stąd też przez żart nazywano tę miejscowość „akademią smorgońską“.

Książę nie ustawał we wewnętrznym gniewie i wzburzeniu. Dobre i chrześcijańskie jego serce odezwało się samą prawdą, gdy powiedział, że chłopki są jego dziećmi, a stąd trapiła go myśl teraźniejszem zdarzeniem, może raz pierwszy obudzona żywiej, a że pan mnogich włości i poddanych, mnogie też i ciężkie ma obowiązki względem ludzi, równych jemu współbraci, a powierzonych mu w pieczę od Boga. Że za ich pracę należy się im czuła opieka; że może równegoż uciemięże-

nia od nieludzkich rządców doznają włościanie i innych wsi i dóbr jego...

Przerwał te przykre myśli księcia spotykający kalwakatę konno pokojowiec, który przywiózł doniesienie od marszałka Fryczyńskiego, że pan Przeciszewski, zastawnik Smorgońszczyzny, nie dozwolił mu rozłożyć się z kuchnią i czeka na obiad książęcą mość z całem towarzystwem.

— Niechże Fryczyński sam zje ten objad pana Przeciszewskiego, odpowiedział książę, — mijać Smorgonie!

— Kachał żydowski, mości książę, donosił dalej pokojowiec, czeka z dziesięciorgiem przykazań przy wjeździe do miasteczka, a rabin ma mieć mowę po hebrajsku do waszej książęcej mości.

Książę spojrzał surowo na raportującego młodzieńca i powtórzył: mijać — jedź!...

— Akademia smorgońska, mości książę, mówił jeszcze pokojowiec, nie spostrzegłszy zapewne wzroku księcia, przyprowadziła cztery niedźwiedzie na dziedziniec do dworu i mają wyprawiać tańce przed waszą książzcą mością.

— Mianuję cię, odpowiedział żwawo książę, rektorem tej akademii, a Fryczyński przyłoży ci pieczęć akademicką na kobiercu. Ja z niedźwiedziami tylko w lesie mam do czynienia. — Jedź! krzyknął na stangreta, i mijaj miasteczko i dwór.

Zbity z humoru młodzieniec obietnicą księcia, ze spuszczoną głową został się w tyle z całą kalwakadą, w nadziei, że nienawijając się księciu na oczy, uniknie przyłożenia pieczęci.

W ten sposób wszystkie sołenne przygotowania na przyjęcie księcia w Smorgoniach spełzły na niczem.

Książę pojechał kłusem wzdłuż miasteczka, minął dwór i pędził drogą ku rzece Wilii, którą przebyć trzeba

było. Lecz gdy się zbliżał do jej brzegów, dała się słyszeć muzyka i obudziła zadumanego.

Postrzegłszy namioty i liczne wkoło towarzystwo, wysiadł też z wozu. To samo uczyniła cała drużyna, a naprzeciw szedł z liczniejszą daleko pan Sulistrowski, spotykający tu księcia na przeprawie.

Muzyka brzmiała bez przerwy, okrzyki radosne i powitania nie ustawały; więcej jak półtorasta znakomitszych obywateli litewskich, z różnych okolic zebranych, mięszało się wzajem na powitanie miłego gościa.

Pod namiotami obfita przekąska zastąpiła dostatecznie stracony obiad u pana Przeciszewskiego. Jedno tylko zdrowie księcia spełniono winem, poczem zaraz muzyka odezwała się na promie, wzywając do podróży, której pan Sulistrowski był przewodnikiem.

Rozstawionymi po drodze przez pana Sulistrowskiego przeprzęganiu, o sześć mil od tego miejsca, późnym wieczorem przybył książę do Szemetowszczyzny, odległej o mil kilkanaście na północ Wilna.

Miasteczko to leży wśród borów, rozszerzających się od jeziora świrskiego; pagórki, łąki, ogrody, kościół, wreszcie zaścianki, wioski i samo jezioro — czynią tę okolicę bardzo malowniczą, piękną.

W miasteczku książę wojewida z podróżnego ubioru w oszmiański się mundur przestroił. — Stąd do dworu prowadziła grobla, długa na ćwierć blizko mili, a po obu jej stronach ciągnęły się równieżże długości szerokie i czyste kanały. Na rzęsiste jej oświetlenie pan Sulistrowski zebrał lampy ze wszystkich prawie wileńskich i okolicznych kościołów, i na płytkach, rzędem na wodzie do dna przymocowanych, nieprzerwane oświetlenie około grobli zapalił, które w oddali zamykało się frontem pałacu, rzęsiście światłem obsypanego, i na szczycie cyfrą księcia jaśniejącego.

Wspaniały ten i samą długością zachwycający widok światła, rozlewającego się i podwajanego przez odbicie na kanałach, zadziwił i oćmił księcia i wszystkich

jadących za nim. Krzyczano z pojazdów: vivat! brawo! — podniecane nieustannymi wystrzałami z kilkunastu moździerzy, brzmiących na dworze Książę kręcił głową i mruczał sobie:

— Dalibóg! to lepiej i piękniej, niż moje zdobycie Gibraltaru, na które tylko wiele prochu spalono i nic osobliwego nie było.

Ponure myśli i złe usposobienie jego, wybite z głowy nad przewozem na Wilii, tu do reszty znikło, zwłaszcza, gdy zajechał przed pałac i ujrzał się spotkanym i otoczonym pięknem gronem pań, panien i panów, a na twarzach i ustach wszystkich widział radość z przybycia jego... Gospodynię domu i inne panie przywitał książę pocałowaniem w rękę.

W czasie wystawnej wieczerzy, siedząc między gospodynią a inną poważną panią, odsuwał talerze z frykasami i tylko poprosił o przysunięcie mu z półmiskiem kapłona, którego dostrzegł między licznemi przystawkami. Postawiono więc wnet przed księciem żądany półmisek.

— Może parę jarząbków? dodała uprzejmie gospodyni.

— Ptaszki to fraszki, rzekł książę, zatopiwszy się w kapłonie, a gdy go zmógł całego i dokończył nim wieczerzę, dano hasło z moździerzów.

Wnet odemknęły się drzwi i okna, przywarte dotąd okiennicami od ogrodu, zabrzmiała muzyka w szpalerach i okazał się cały ogród, wspaniale oświetlony różnokolorowemi lampkami, do którego towarzystwo, od wszystkich stołów powstawszy, zeszło Na środkowej zaś, szerokiej równinie, zapalono ognie sztuczne i tysiące rakiet strzeliło razem w niebiosa brylantowym deszczem, napełniając widnokrąg nieba, i spadając na ziemię.

— Vivat! niech żyje! tej samej chwili rozległo się w ogrodzie, i powtórzyło echem stokrotnem za ogrodem, gdzie tłumy ciekawego ludu kilkanaście beczek miodu roztaczały. Vivat, książę, vivat!...

Liczne kielichy za przewodnictwem gospodarza podniosły się na to hasło w górę i spełniono zdrowie księcia z uniesieniem.

Książę, rozczulony do łez, ściskając pana Sulistrowskiego, rzekł:

— Panie Alojzy, panie kochanku! Obiecałeś mi w Nieświeżu, że mnie po szlachecku przyjmować będziesz, a tu po królewsku przyjmujesz! Panie kochanku! dajże kielicha!

Podano na srebrnej tacy wielki, kryształowy kielich, starym węgierskim maślaczem napełniony po brzegi. Wziął go książę w rękę, a podniósłszy w górę, wychylił duszkiem, a zapał objął zgromadzenie.

Jeden z gości, niejaki pan Oskierka, kasztelan, gdy mu się ten kielich w ręce dostał, wycisnął się z tłumu przed księcia, i poważny wiekiem staruszek, oparty na kilofie, wykrzyknął z dobitnym przyciskiem, po rusińsku: „Na pohybel temu, kto ne szczyry jemu!“ — Spełnił i swego otarł wąsa. — „Kto nie szczyry jemu! kto nie szczyry jemu!“ — wołali wszyscy i hurmem rzucili się w objęcia księcia

Książę wojewoda, wzruszony i serdecznością szlachty i starym węgrzynem, płakał, ściskając wszystkich i powtarzając bezustannie:

— Panie kochanku! staroświecka poczciwość! staropolska cnota! panie kochanku! Gdybym trupem padł, to was nie odstąpię!...

— Wszyscy jeden za drugim legniem trupem za ciebie książę! — Wszyscy! odkrzyknięto w podchmielonym tłumie.

Panie dziewice przechadzały się po ogrodzie, wesoło rozmawiając z sobą i mężczyznami, a węgrzyn między panami szedł swoim porządkiem. Ściskali bezustannie również dobrze ciętego księcia, siedzącego na krześle i odzywającego się także niewyraźnie jak oni:

— Ja wasz brat! Ja wasz sługa! Staroświecka pocz-

ciwość! choćby trupem paść! — dość, panie Alojzy, dość panie kochanku!...

I tak przy wypuszczaniu znowu wielu rac ognistych w górę, przy wznowionych wiwatach i brzmieniu muzyki, skończyła się owa noc czarująca, może ostatnia na Litwie, łącząca potężnego mgnata braterstwem uczuć i obyczajów z szlacheckimi ziomkami jego.

Wśród ugoszczenia, spoczynku i spokojniejszych zabaw książę przebył kilka dni w Szemetowszczyznie. Na prośby gospodarza i zgromadzonych chętnie załatwił przez sądy polubowne trzy procesa, a między niemi długotrwały proces pana Sulistrowskiego z księżmi Karmelitami z Głębokiego, których prowincyał był także w gościnie. Był też swatem dla dwojga młodych ze szlachty. Właśnie rozmawiał z jednym z nich, niejakim Dowiatem, młodzieńcem pięknym w żupanie i przy szabli u boku.

— Pamiętam, panie kochanku, mówił książę do niego, pamiętam Augustyna Dowiata, plenipotenta niegdyś mojego pana ojca hetmana; jak on ci się godził?

— Stryj to, mości książę, — odpowiedział Dowiat.

— Podobno się zakapturzył, — czy żyje jeszcze?

— Żyje, mości książę, i teraz, podług reguły swego trynitarskiego zakonu, wybrał się do Turcyi, dla wykupienia niewolników z niewoli pogańskiej.

— Ach! panie kochanku, po moich tam śladach chodzić będzie.

Wszyscy wiedzieli dobrze, że książę nigdy nie był w samej Turcyi, a tylko czas pewien na Wołoszczyznie, podległej Turcyi, przebywał. Ale że na rachunek kilkoletniego wychodźtwa swojego wymyślał śmieszne opowiadania i przygody, które po różnych jakoby krajach mu się wydarzyły, a dowcipnie i niezwykłym sposobem je opowiadał, przeto otoczyli go kołem, a ktoś zapytał:

— A jakże się tam księciu w Turcyi podobało?

— Rozmaicie, panie kochanku, i tak i owak, ale na końcu, jak poznałem się z sułtanem tureckim, to tak po-

kochaliśmy się, i do takiej przyszliśmy zażyłości, że mnie chciał zrobić kapi - aga.

— A cóż to znaczy kapi-aga? pytano.

— A! to panie kochanku, ważny urząd! to po naszemu tłomacząc, jest to niby sekretarz seraju, w którym się chronią żony sułtana

— Czemuż książę nie przyjął tego ważnego urzędu?

— A tak, panie kochanku, tak, przyjąłbym, pewnie przyjąłbym, ale stoi w alkoranie, tureckiej księdze religijnej, i sam wyczytałem, że kto jak ja, jest syndykiem bernardyńskim, ten nie może być kapi-agą.

Rozśmiali się wszyscy prócz księcia, który, jak zwykle, tonem prawdy i rzeczywistości tak dalej opowiadał swe zmyślenie od ręki:

— Powróciwszy do Nieświeża, chciałem wysłać księdza Kantembrynga do Konstantynopola dla nawrócenia jego sułtańskiej mości, aby się ochrzcił i przyjechał do Litwy, dawałem i piądze na drogę i list mój do niego. Ale cóż? odpowiedział on: „niech jedzie ksiądz Dederko, jemu bliżej z Ołyki do Stambułu". Prawda; więc ja do księdza Dederki z przełożeniem, a on mi rzekł: „niech jedzie ksiądz Toczyłowski, on biskupem in partibus infidelium (to jest biskupem z tytułu, stosowanego do nazwy jakiejś w stronach „niewiernych"), jego więc rzecz nawracać samego herszta niewiernych". — I tak, żaden nie pojechał.

ROZDZIAŁ VI.

Radziwiłł gościem u sędziego Rewieńskiego znów jest swatem. Przygoda z Krajewskim. Różne ucieszne opowiadania księcia — słynne łgarstwa. Książę Panie Kochanku nie tylko się bawi. Pogrzeb brata Hieronima. Zdarzenie z żebrakiem. Uczta wspaniała na pamiątkę Unii Litwy z Polską. Ostatnie chwile ks. wojewody.

Raz zimą wybrał się książę, na czele licznych sanek, w odwiedziny do pana Ignacego Rewieńskiego, sędziego ziemskiego.

Sędzia, wyjechawszy ze swych Omniewicz, niedaleko Nowogródka, na czele pięćdziesięciu szlachty, skoro spotkał księcia na granicy, zsiadł z konia wraz z drugimi, przywitał przybywającego gościa wielce pochwalną mową i wspomniał o jego zasługach w konfederacyi, jako był jednym z najgorliwszych tejże wodzów.

Książę do łez się rozczulił, powtarzając kilkakrotnie:

— Panie kochanku! czy ja wart, żebyście mnie tak przyjmowali?!

Pomimo przedstawień sędziego, wysiadł z sań, nie uważając na śnieg duży i witał wszystkich serdecznie. Ucałowawszy się i naściskawszy z bracią szlachtą, książę krzyknął na koniuszego swego, żeby konia wierzchowego podał, a że sędzia nalegał, aby w saniach jechał, jak wprzód, zniecierpliwił się i rzekł:

— Taki waćpan przyjaciel, panie Ignacy, kiedy szlachta na koniu, chcesz, żeby Radziwiłł na wozie siedział jak żyd — i lubo otyły, skoczył na konia, jak za dobrych czasów.

Zsiadł z konia przed gankiem domu i pokilkakrotnie uściskał gospodarza; wszystkie kobiety, zacząwszy od gospodyni, w ręce pocałował, poczem wszedł do pokoju.

Między gośćmi był wspominany przez nas już dawniej Jeleński, kasztelan nowogrodzki. Przed kilkoma niedzielami, jako członek nadwornych sądów, zjechał był do Nieśwież̇a na komisyę księcia z kachałem nieświeskim, i zakończył interes, wedle swego przekonania, sprawiedliwie, ale książę go z dawna nie lubił więc przy kielichu, wspominając o świeżo odbytej komisyi, powiedział mu:

— Powiedz prawdę, panie kochanku, wiele rebochem (to jest łapówki) wziąłeś od żydów?

Na to silnie się obruszył kasztelan i chciał zaraz wyjechać, ale książę, widząc frasunek sędziego gospodarza, ułagodził kasztelana, mówiąc:

— Panie kolego, odpuść mnie to, co żartem powiedziałem — i tak ukończyła się niemiła sprawa.

Wracając do przyjęcia u sędziego, gdy chwilowego zaniepokojenia chmura rozpędzoną została, już nic zabawom gości nie przeszkadzało, i owszem, z powodu zgody, jeszcze głośniej kielichy krążyły; nawet przy końcu wzięli się do kijów szklanych.

Był to w dawnym obyczaju najwyższy stopień podochocenia. Kij szklany był dęty; gdy napełniwszy go winem, przykładano do ust, trzeba było wypróżnić jednym tchem; inaczej, pijący został obryzgany, a za karę wlewano mu za kołnierz kielich wody.

Wśród tych popisów jeden tylko książę został przytomny, a nie mając już z kim pić, na znak zwycięstwa, jeszcze kielich wypił do kredensarza Wawrzyńca i jemu go oddał, napełniwszy swoją ręką.

Nazajutrz, w ostatni wtorek, odbyły się zaręczyny siostrzenicy sędziego, panny Agnieszki Hańskiej, sieroty, której ojciec, chorąży pancerny, własnym kosztem wysztyftowawszy chorągiew (to jest oddział zbrojnych) w konfederacyi barskiej, na jej czele poległ pod Sochaczewem.

Jagulka, siedmnastoletnia panna, była na opiece sędziego. Brat jej był pokojowym u księcia wojewody Panie Kochanku. Ojciec pana młodego, Mogilnicki, cześnik nowogrodzki, poprosił teraz wobec wszystkich gości pana sędziego o rękę jego siostrzenicy dla swego syna, a zarazem księcia wojewodę o wstawienie się, aby raczył wesprzeć dobrem słowem tę prośbę sługi swego.

Książę, który bardzo lubił kojarzyć małżeństwa, choć sam w pożyciu małżeńskiem nie miał powodzenia, natychmiast wstał i w pół ścisnąwszy sędziego, rzekł:

— Panie Ignacy, wybornie się zdarza dla Jagusi; Mogilnickich dobra krew, niech się przyjaciele Radziwiłła łączą. Zezwól, a prędko, bo jak zaskoczy popielec, na czterdzieści dni klamka zapadnie.

Ojciec i syn ucałowali kolana swata za wstawienie się łaskawe, a po chętnem przyjęciu oświadczyn przez obojga sędziostwa i daniu błogosławieństwa dla Jagusi, cześnikowicz jak długi padł do nóg sędziemu i toż samo sędziny. Książę wziął za ręce chorążankę, która drżała jak liść osiny i zapytał ją, czy zgadza się z wolą wujaszka iść za cześnikowicza? Chorażanka w płomieniach cała, ustami ruszyła, ale nie można było nic usłyszeć. Książę rzekł:

— Głośniej, Jagusiu! — a ta jeszcze więcej się zmieszała.

Książę wtedy wziąwszy ją wpół, ucho do jej ust przyłożył i rzekł:

— No, kiedy się tak wstydzisz, powiedz mi na ucho, ja powtórzę głośno, a mnie uwierzą

Po niejakim czasie odważyła się coś szepnąć księciu, dopiero książę wyrzekł: „Zezwala“.

Biedna chorążanka ledwo nie zemdlała, kiedy cześnikowicz padł jej do nóg.

— Co do mojej siostrzanki, rzekł sędzia, jej posag, własne, ocalone dla niej 25,000 złp., po spisaniu aktu zapewnienia, ewikcyi, panu cześnikowiczowi wręczone zostaną.

Wtenczas się książę odezwał: — Na co pan Karol (cześnik) ma ewikcyą obciążać swój majątek? Ja sumę przyjmuję, a w procencie jednę z wsi moich przyszłej cześnikowiczowej w zastaw wypuszczę.

Sekretarz księcia, pan Mikuć, podał mu spis folwarków do puszczenia będących, który zawsze nosił przy sobie. Wybrano Borowicze, folwark w Slucczyźnie, 30 chłopa mający. Książę powiedział do Mikucia:

— Niech inwentarz będzie przyjacielski, a jaki przyrost roczny będzie się należał do mego skarbu, połowę z niego daruję Jagusi, aż do czasu wykupu Borowicz.

Nastąpiły najpokorniejsze dzięki narzeczonej pary, sędziostwa i cześnikostwa.

Po obiedzie i zdrowiach, które pili z trzewika panny Agnieszki podochoceni goście, pili także z buta księcia wojewody, i naprzemian szły tańce, mazurki, krakowiaki, przeplatane kielichami

Dopiero w samą północ, na zakończenie zapust, książę wziąwszy panią sędzinę, a każdy z gości damę swoją, poszli do drabanta, po którym muzyka się rozeszła.

Zwykłym natenczas obyczajem ksiądz gwardyan miał do wszystkich przemowę i zaprosił wszystkich do modlitw. Zaczęli z księdzem śpiewać „Gorżkie żale", aż ściany się trzęsły, a w śpiewie rozlegał się donośny głos księcia wojewody.

O czwartej rano miał ksiądz gwardyan mszę św. w kościele, a sędzia służył mu do niej. Przy ewangelii, jak zwyczaj kazał, wszyscy szable z pochew wyjęli, głowy nakrywszy czapkami, a to na znak, iż gotowi są orę-

żem walczyć za święte, ewangeliczne słowa Zbawiciela naszego.

Po mszy książę wojewoda z kasztelanem Jeleńskim i wszyscy inni, wreszcie słudzy, po dwóch przystępowali do ołtarza dla przyjęcia popielca, a dopiero po nich szły kobiety.

Kilka godzin wypoczywając, wszyscy byli bez posiłku, jako w pierwszym dniu wielkiego postu. Obiad był na oleju, ale część gości i sami gospodarstwo, mając zwyczaj dzień popielcowy suszyć, grzankami się tylko posilali; książę wojewoda także się od innych pokarmów wstrzymał. W dniu tym wina nie było widać, tylko miód i piwo

---

Więcej, niż w dwadzieścia lat po rozstrzelaniu Wołodkowicza, książę wojewoda wileński, jak zwykle, obchodził suto swe imieniny w dzień św. Karola, 4 listopada, na który, można powiedzieć, cała Litwa zjeżdżała do Nieświeża.

Książę, wedle swego zwyczaju, otoczony domownikami i sługami, siedział w sieniach zamku dla przyjęcia gości. Naprzeciw każdego wychodził do drzwi i znowu wracał do swego głębokiego krzesła, póki dla innego przybywającego nie wstawał. A że każdy gość przybyły zostawał z nim w sieniah, póki się wszyscy nie zjechali, cały tedy ranek tam przebywał w coraz liczniejszem towarzystwie.

Wtem wszedł jakiś jegomość w wieku bardziej starym niż młodym. Był w kontuszu mundurowym, skłonił się nizko przed księciem, jakby żądając ośmielenia, by się mógł o jakowąś łaskę przymówić. Książę to uważając, odezwał się:

— Panie bracie, czego waść żądasz?

— Jestem abszytowanym (uwolnionym) oficerem wojsk Rzeczypospolitej, życzyłbym sobie być umieszczonym w milicyi waszej książęcej mości.

— Gdzieś waść służył?

— W regimencie Massalskich. Oto mój abszyt i świadectwo mojego sprawowania się, które śmiem złożyć księciu panu.

Książę rzuciwszy okiem na papiery, nagle pobladł, i mocno zasępiwszy się, powiedział:

— Wołodkowicza rozstrzelali!...

Wtem spostrzeżono, że starający się o służbę okazał na twarzy nadzwyczajne pomięszanie, potem przyszedłszy jakoś do siebie, głosem dość śmiałym powiedział:

— Nie zapieram się, iż w Mińsku wyprowadziłem niegdyś na śmierć pana Wołodkowicza, ale w tem moje sumienie żadnego mi wyrzutu nie robi: jako żołnierz, moją rzeczą było słuchać naczelników i dopełniać ich rozporządzeń. Jeżeli otrzymam służbę u waszej książęcej mości, równie wiernie będę dopełniał jego rozkazów, jakem dopełniał rozkazów króla i rzeczypospolitej.

Na to książę: — „Wołodkowicza rozstrzelali!" — i obróciwszy się do pana Tyszkiewicza, starosty wielatyckiego, a półkownika jego milicyi, będącego w dniu tym na służbie, rzekł:

— Każ waćpan natychmiast, aby tu przyszło trzech żołnierzy z mojej warty z bronią i ostrymi ładunkami. „Wołodkowicza rozstrzelali!" Słowa te książę co chwila powtarzał z coraz mocniejszemi poruszeniami.

Nadeszli żołnierze; książę zakomenderował: „nabijać broń!"

Goście, dworzanie i słudzy ze strachem na siebie spoglądali; żaden odezwać się nie śmiał, a tu widocznie gotowało się nadużycie, które nie mogło wszystkich nie gorszyć, bo lubo duszą i sercem byli oddani księciu, jednak nie radzi byli zostać świadkami, jak się depcą prawa krajowe.

— Wołodkowicza rozstrzelali! — odezwał się znowu książę — weźcie serce z papieru czerwonego i przyłóżcie mu.

Oficer od warty przyskoczył do oficera abszytowanego pułku Massaiskich, i zabierał się serce mu przyszpilić, gdy książę rzekł:

— Gdzież serce kładziesz? — nie tu, przyłóż je temu jeleniowi, co jest na tym wiszącym kobiercu.

Cała ściana w sieni była bowiem zakryta ogromnym kobiercem francuskim, wyrażającym łowy na jelenie; oficer jeleniowi wyżej łopatki serce przyczepił, poczem książę zakomenderował:

— „Ognia!“ — i trzy kule przeszły jelennia.

Potem książę wstał z wypogodzonem obliczem, prosząc wszystkich gości na pokoje. Massalczyk stajał jak śnieg majowy; ani się można było dowiedzieć, gdzie się podział. Goście z księciem cały dzień wesoło przepędzili, i ani wspomniał książę o zdarzeniu, którem wszystkich tyle strachu nabawił.

Chciał był zapewne tym sposobem pokazać, ile serce jego cierpiało przez rozstrzelanie Wołodkowicza, a potem dać przez to odprawę Krajewskiemu, bo jego widok przypominałby mu ciągle śmierć przyjaciela, którego tak kochał.

Wspomnieliśmy już, że książę Radziwiłł Panie Kochanku lubił opowiadać zmyślone historye, z których naturalnie sam śmiał się w duchu, ale jawnie opowiadał je z wielką powagą. Rad był zabawiać gości swemi słynnemi łgarstwami, a miał je zawsze, jak na zawołanie. Kilka już przytoczyliśmy powyżej.

Otóż miał on na dworze swoim wspomnianego już poprzednio Leona Borowskiego, szlachcica ogromnego i barczystego. Książę bardzo go lubił za jego szczere przywiązanie, wesołe usposobienie, i że nikt mu tak placu przy kielichu nie dotrzymał jak on, ba! nawet pobijał na tem polu księcia, to też wiele mu dozwolonem było.

Raz, wobec licznych gości, opowiadał Borowski,

jakiego to sposobu książę Panie Kochanku używał na łowienie niedźwiedzi

— Oto, mówił, z rozkazu księcia pana kazałem knieję, w której się usadowiły niedźwiedzie obstawić dokoła wozami, a dyszle tych wozów wysmarować grubo miodem. Jak wiadomo, niedźwiedzie za miodem się przepadają, więc zwabione jego zapachem, powyłaziły z gęstwin i nuż chciwie oblizywać miód na dyszlach. Łakome niedźwiedzie, liżąc tak od początku dyszle coraz dalej a dalej, same się nadziewały, tak że końce dyszli drugą stroną wychodziły i nieboraki ani w tę ani w drugą stronę ruszyć się nie mogły. Wtedy ukryci chłopi wyskakiwali z zasadzki, ściągali po jednemu te czarne bestye z dyszlów, niby grzyby nadziane ze sznurka. Jednego roku, co był w miód ubogi, dwa tysiące niedźwiedzi przywieźli chłopi.

— Więc ja — kończył książę — skóry z nich, panie kochanku, uładowałem na okręcie i sam z niemi ruszyłem, ale burza morska zagnała mię na nieznane i odległe morze. Wiatry chwiały okrętem, już go miały przewalić, wtedy ja, panie kochanku, skoczywszy w rozhukane bałwany, uchwyciłem oburącz okręt, i przez całą drogę płynąc pod zagrożonym okrętem, podpierając własnemi barkami, przyprowadziłem go do bezpiecznej przystani. Wszak tak było, panie Leonie?

— Tak, zupełnie, wasza książęca mość, potwierdził Borowski.

— Tak jeżdżąc po morzach, spotkałem raz panie kochanku, na Adryatyku pływającą prześliczną syrenę, pół-kobietę, a pół-rybę. Otóż kazałem ją, panie kochanku, pochwycić i potajemnie ślub z nią wziąłem na okręcie. Potem, panie kochanku, potomstwo swoje całe, jakie miałem z syreną, złożone z stu tysięcy śledzi, darowałem Borowskiemu, za co niemało pieniędzy zagarnął. Wszak prawda, Borosiu?

— Tak jest, co do joty, książę panie — przytakiwał pan Borowski, a goście się serdecznie uśmiali.

— Albo czyż to nie było cudowne zdarzenie, panie kochanku — prawił znów książę — kiedy prowadząc szwadron hussarzy do ataku, zostałem ugodzony kulą armatnią tak nieszczęśliwie, że ta na dwie połowy mnie rozdarła? Wszak to pamiętasz, Borosiu?

— Nie, tego nie pamiętam, mości książę — odparł zapytany — bo właśnie wtedy byłem już zabity.

Inny raz opowiadał wesołej kompanii Borowski, że książę kazał pewnego dnia krowy swoje wydoić, a z tego udoju wypełniono całą sadzawkę w Nieświeżu.

— Panie kochanku — rzekł obecny Radziwiłł — to nic jeszcze, — ale jak zebrano śmietanę z sadzawki i zrobiono masło, to w maśle znaleziono źrebię, co się dawniej w mleku utopiło!...

— Przed czterema laty — opowiadał książę swym przyjaciołom — byłem, panie kochanku, na łowach; strzelałem kilka razy, wyszły mi wszystkie naboje, aż tu naraz, panie kochanku, wyskakuje duży jeleń i staje bliziutko. Co tu robić? Był jeszcze nabój prochu, sypię w lufę, a że jadłem właśnie wiśnie, miasto loftek, pestkami nabiłem. Jak zmierzę, panie kochanku, jak palnę, aż jeleń podskoczył; zdawało mi się, żem go trafił w czoło, ale z pewnością nie wiedziałem. Wyjechałem potem za granicę, zwiedziłem Węgry, Niemcy, Francyę i Włochy, i po trzech prawie latach powróciłem do domu.

Że lubię łowy, poszliśmy znowu na jelenie. Stoję w tem samem miejscu i niedługo wyskakuje jeleń. Patrzę... poznaję, że to ten sam, com doń strzelił pestkami, bo z samego środka czoła wyrosła duża wiśnia z pełnemi gałęziami owocu!... Tak to, panie kochanku, poznałem swego jelenia, który uszedł zdrowo i buja w moich kniejach.

Książę upoważnił swego ulubieńca, Borowskiego, aby go trącał ręką pod stołem, jeżeli będąc podchmielonym, zanadto przeholuje.

Otóż opowiadał raz książę wojewoda gronu swych przyjaciół, po gęstych już kielichach, że raz na polowaniu zabił lisa takiego, co miał ogon trzy wiorsty długi!..

Tu trącił go pod stołem Borowski.

— Nie, nie tyle, panie kochanku — poprawił się książę — miał tylko dwie wiorsty długi ogon.

Borowski znowu ciągnie go za kontusz pod stołem.

— Ale nie, miał tylko jednę wiorstę, panie kochanku.

Gdy trącania nie ustają, rzecze książę zniecierpliwiony do Borowskiego:

— Cóż u dyabła! — czy ten lis wcale był bez ogona, czy co?

— Polowałem — mówił raz rozweselony książę Radziwiłł — w moich nalibockich puszczach na grubego zwierza. Wtem, panie kochanku, wychodzi wprost na mnie z gęstwiny młody warchlaczek, którego ogon trzymał w zębach odyniec, dzik stary, i postępował za nim. Zdziwiony niezmiernie, panie kochanku, podchodzę bliżej, i widzę, że odyniec był ślepy na oba oczy, a ten młody był mu przewodnikiem, niby jak u ludzi młody chłopiec dla dziada ślepego. Nie namyślając się długo, panie kochanku, wydobywam mój kordelas z pochwy, odcinam ogon warchlakowi przy samej skórze, i uchwyciwszy tenże ogon, szedłem ku domowi, a stary odyniec, nie domyślając się niczego, postępował za mną, trzymając się ciągle zębami ogona warchlaka. W ten sposób panie kochanku, na niemałą wesołość mego myśliwstwa, przyprowadziłem żywcem starego dzika do domu, bo biedny ślepiec myślał że wciąż go warchlak prowadzi.

— Należałem i ja, panie kochanku —opowiadał książę — jako ochotnik do wojska angielskiego, co zdobywało hiszpańską twierdzę Gibraltar. Miałem pod sobą czystej rasy andaluzyjskiego konia dzielnego. Przypuszczamy szturm do twierdzy i ja pędzę, panie kochanku na moim ognistym rumaku, wtem kula armatnia, wypuszczona z twierdzy, przecina na połowę mojego bahmata, panie kochanku; ale to nic! — koń był tak rozpędzony, że z przednią swoją połową, unosząc mnie, przeskoczył mur forteczny i tak wpadłem tam ja pierwszy, panie kochanku, a za mną już reszta wojska za mury się wdarła.

Skończę anegdotką prawdziwą z życia jego. Jaszewicz, kupiec w Warszawie, założył magazyn angielski, który w wielkiej był renomie, sprowadził różnego rodzaju towary, nie widziane jeszcze u nas, a że nowość popłaca, tłumy szły do niego, aby je oglądać. Książę dowiedział się o tem także i popłynął za falą odwiedzających; podobało mu się dosyć wszystko, choć tylko rzutem oka, nie wchodzą w szczegóły, opatrzył, przeszedł się po magazynie z asystencyą, zakreślił trzciną po półkach i rzekł:

— Póty moje, spakować i odesłać.

Jaszewicz, który znał księcia fantazye i rad był z nich korzystać, przystąpił do niego, wskazując mu kosz z butelkami.

— Świeże piwo angielskie, w Londynie butelkowane, mości książę.

— Każ, panie kochanku, dać na próbę, żeby każdy skosztował.

Dobyto i tak zaczęli kosztować wszyscy, co byli w sklepie, że dwieście butelek wykosztowali; książę także wziął do ust.

— Nie złe — rzekł — a wiele tam tego masz?

— Cztery tysiące butelek.
— Upakuj i to, zda się dla Radziwiłła.

Nie samemi jednak ucztami, łowami, sejmikowaniem i żartami zajęty był książę. Panie Kochanku, i myliłby się ten, ktoby z tych oryginalnych rozrywek Radziwiłła chciał sądzić jedynie o jego ukształceniu i upodobaniach, bo mamy znowu fakta dowodzące, że Radziwił znał potrzeby kraju i lubował w szlachetniejszych rozrywkach.

Dosyć wzorowo urządził swe wojsko, które później podarował rzeczypospolitej. Założył w Nieświeżu szkołę kadetów, zakład piękny i pożyteczny dla kraju, gdzie się uczono artyleryi, rysunków, języków, architektury militarnej i cywilnej. Oprócz wstępu, jaki każde szlacheckie dziecię mogło tu otrzymać, na koszcie księcia wychowywało się 30 uczniów: jedni z wychowańców tej szkoły zaszczytnie odznaczyli się potem w wojsku litewskiem, inni, jak Sokołowski i Cybulski, dosłużyli się w wojsku rosyjskim stopni jenerałów.

Ceniąc pamięć swej matki, twórczyni teatru w Nieświeżu, odnowił go i przyozdobił; w swym gmachu, w mieście urządził balet, złożony z czterdziestu osób; uporządkował i w nowe typy zaopatrzył ojcowską drukarnię, która oprócz kilku świstków i broszur wydała: „Sądowy proces, albo sposób prawowania się w trybunałach i wszelkich subseliach W. X. Lit.“ (Nieśwież 1781); uporządkował w Słucku i w Nieświeżu persyarnie czyli fabryki litych pasów, z których mianowicie pierwsza, aż do ostatnich czasów miała w całej Polsce i Litwie swą sławę; założył huty szklane w Nalibokach i Urzeczu, których wyroby dziś jeszcze gdzie niegdzie dochowane, pięknym są zabytkiem: zakładał i upiększał ogrody w Nieświeżu, Białej i Mirze, gdzie się w cieplarniach pielęgnowało wiele podzwrotnikowych gatunków roślin, słowem, to dzikie serce, było w gruncie

dobrem, szlachetnem i czułem na wyższe piękno; w tej dziwacznej głowie lęgły się nieraz zdrowe i zbawienne myśli.

Od bytności królewskiej w Nieświeżu pogodził się także książę Radziwiłł z Czartoryskimi i odtąd, lubo już był w wieku, zjeżdżał często do Warszawy, gdzie znowu pod te czasy ruch narodowy się podnosił. Odbywał się wtedy, on sławny sejm czteroletni, kiedy to szlachta polska po pierwszym rozbiorze kraju poczęła się otrzeźwiać i pomyślała poważnie o wydaniu praw nowych, lepszych, o powiększeniu wojska polskiego, o przypuszczeniu mieszczan do tych praw, jakie sama miała itp. Nasz wojewoda wileński brał w nim także udział, a gdy na sejmie wprowadzono sprawę powiększenia wojska stałego, wspaniale ofiarował pułk piechoty z 2000 przeszło swoich żołnierzy złożony i oddając go na usługi Rzeczypospolitej, zobowiązał się utrzymać go stale swoim kosztem.

W r. 1787 umarł Hieronim Radziwiłł, młodszy, ukochany brat Karola, a podanie wiernie zapisało kosztowny pogrzeb, który mu Karol wyprawił wespół z pogrzebem swej macochy. Świątynię po - jezuicką obleczono karmazynowym aksamitem, którego, jak wieść niesie, użyto 2000 łokci.

Na pogrzeb przybyli do Nieświeża zaproszeni przez Radziwiłła nuncyusz papieski Saluzzo i biskupi: wileński, Ignacy Masalski, smoleński, Gabryel Wodziński i troadeński, Mikołaj Bykowski; wtedy po raz ostatni wystąpiły dawne radziwiłłowskie zbroje, któremi któremi okryta była warta, stojąca przy wejściu do kościoła i u trumien.

Po pogrzebie, żegnając gości, Radziwiłł miał po-

wiedzieć: „Pogrzebłem tego, co mię pogrześć był powinien, a któż mnie pogrzebie?!“

W r. 1789, w dniu św. Katarzyny, w rocznicę koronacyi króla Stanisława Poniatowskigo, w kościele katedralnym w Warszawie odprawiono w południe uroczyste nagożeństwo. Wspaniałe pojazdy, jedne za drugimi zajeżdżały przed świątynię, a żebracy, którzy rozsiedli się pod jej murami, wyciągali ręce, prosząc o jałmużnę wysiadające z nich panie i panów.

Pomiędzy tymi biedakami stał siwy jakiś starzec, twarz jego szlachetna, miała wyraz smutny, a oczy miał załzawione. I on też wyciągał dłoń po jałmużnę, lecz czynił to nieśmiało, jak gdyby z bojaźnią i przymusem, a zawsze napróżno.

Wtem wspanialszy od innych zatrzymał się znowu pojazd przed kościołem. Siedział w nim mężczyzna otyły. Był to książę Karol Radziwiłł.

Wysiadłszy z powozu, postąpił ku przysionkowi kościoła. Żebracy, znając jego hojność, podsunęli się ku niemu, wyciągając ręce. Książę się zatrzymał, spojrzał uważnie na wszystkich, sięgnął do kieszeni, wydobył woreczek, a wyjąwszy z niego garść złota, zbliżył się do smutnego starca, najdalej stojącego, i wsunął mu ją w dłoń, poczem spiesznie wszedł do kościoła.

Starzec spojrzał na dar, ale jakież było jego zdumienie gdy przy blasku promieni słonecznych ujrzał złoto błyszczące. Wyraz niewypowiedzianej szczęśliwośi rozjaśnił mu twarz, bo ta garść złota mogła mu zapewnić byt na długie lata i uwolnić od upokarżającego żebractwa. Jednakże po chwili żebrak zamyślił się smutnie.

— Książę pewno się pomylił — szepnął sam do siebie i łzy na nowo zabłysły mu w oczach.

— Niedługo nabożeństwo się skończyło, pobożni zaczęli się wysuwać z kościoła, a między innymi ukazał

się też i książę Karol. Żebrak, który stał ciągle przed kościołem, trzymając złoto w dłoni, szybko przysunął się do niego.

— Łaskawy książę — rzekł ukazując pieniądze — nie wiem, czyli dając mi jałmużnę, nie popełniłeś pomyłki, jeśli tak jest, zwracam je.

— A, panie kochanku — zawołał, śmiejąc się książę — rzeczywiście nie miałem zamiaru dać ci tak hojnego daru, lecz zatrzymaj te pieniądze, niechaj one będą nagrodą za twoją uczciwość.

— Widzicie, panowie — rzekł, zwróciwszy się do gromadzących się około niego ciekawych — jak to i pod suknią żebraka może też ukrywać się serce szlachetne i dusza wzniosła.

Tegoż dnia wieczorem, na pamiątkę unii Litwy z Koroną, książę Karol Radziwiłł, w imieniu braci Litwinów, dawał wielką fetę dla Korony.

Ta uczta, przez którą dawno zjednoczone narody podawały sobie ręce, zasługuje na monarchicznej i zarazem narodowej, nazwisko. Skupiło się na nią, co żyło w Warszawie. Wjeżdżając w dziedziniec, zdawał się on płonąć cały od ogniów, tak go bogato, symetrycznie i gustownie oświecono wszędzie; wszystkie galerye i wschody były pąsowem suknem wybite.

W pałacu tym bywały dawniej reduty i teatr; oprócz sal, które one zajmowały, otwarto ogromną liczbę pokojów dla gości. Przy drzwiach, zacząwszy od galeryi stało po dwóch pajuków radziwiłłowskich, w barwie księcia.

Trzy ogromne sale redutowe złączono w jedną amfiladę. W nich był stół tak długi, że z jednego końca na drugi, twarzy nie podobna było rozpoznać. Cztery obok obszerne sale zastawione były także stołami; przy piątym, ogromnym, okrągłym stole, może czterdzieści łokci obwodu mającym, siedział król, księżna kurlandz-

ka, panująca (Biren) i dwadzieścia i dwie damy z pierwszych domów lub do familii królewskiej należące.

W środku tego stołu było wielkie ubranie porcelanowe, wystawiające zdobycie Gibraltaru, jedno z najpiękniejszych dzieł fabryki saskiej w Meissen; sztućce, talerze, półmiski, na których podawano, wszystko ze złota. W trzech połączonych salach, na tym stole, nie mającym końca, zastawione były najpiękniejsze srebra augsburgskiej roboty, zwanej filgranową. Tuż obok, pod dwoma ścianami, równie długie kredensowe stoły także zawalone były srebrami, wannami ogromnemi na butelki, puharami, naczyniami odwiecznemi, których kształty wskazywały odległą starożytność i przypominały Olgierdowskie czasy, tacami, talerzami, sztućcami, których musiało być kilka set tuzinów, kandelabrami i świecznikami różnego rodzaju itp. Żyrandole i lichtarze porozstawiane i porozwieszane wszędzie, mieściły pewnie jakie dwa tysiące świec w sobie. Oprócz salonu królewskiego, trzy jeszcze, jak on, stosami sreber były zajęte i rzęsiście iluminowane; wspaniałości tej i przepychu, opisać trudno. Cały gmach na tę uroczystość ociągniony był obiciami nowemi z materyi adamaszkowych z galonami i frędzlami złotymi, wszędzie krzesła i siedzenia garniturowe do ścian zastósowane. Tańczono w gmachu, w którym bywał teatr. Król z księżną kurlandzką, naówczas bawiącą w Warszawie, z wielkim przepychem otwierał bal. W dziesięciu może bocznych pokojach, w których przygotowano stoliki do kart, grano w gry różne.

Gdy dano do stołu, ruszyły się masy ludzi z sal, w których tańczono i z przyległych pokoi do jadalnych. Wchodziliśmy jak do zaczarowanego miejsca jakiego, pisze Ochocki w swych pamiętnikach, kto dopadł szczęśliwie krzesła, ten usiadł, ale więcej niż trzecia część gości posilała się przy bocznych stolikach, stojąc. Krokiem się nie można było ruszyć, żeby nie spotkać półmiska i poczciwego Litwina, zapraszającego doń gorąco.

Kolacya zaczęła się od ostróg, które umyślnie z Hamburga pocztą na kilku brykach sprowadzono, a których kilkaset półmisków wyjść pewnie musiało. Obfitość była niezmierna, ledwie jeden znikł, drugi półmisek się rodził. Trudno było naliczyć, ile setek butelek szampańskiego wina wypito. Oprócz tego roznoszono na tacach wina stare, w różnych rodzajach. Na bocznych stołach stały głowy dzicze, całkowite udźce sarnie, zwierzyna, szynki, ryby na zimno itp. Nakoniec podano deser. W mgnieniu oka znikły wszystkie srebra ze stołów, za któremi wniesiono naczynia deserowe, rozstawiając ich wszędzie niezliczone mnóstwo.

Książę Radziwiłł chodził po wszystkich salonach, po wszystkich grupach, gdzie jedli i pili, jedną tylko piosnkę powtarzając:

— Panie kochanku, nie jecie, nie pijecie! nie łaskawi!

Odpowiadano jednogłośnie:

— Zdrowie księcia pana!... — i wychylano kielichy.

Mówiono powszechnie, że ta uczta dwa miliony złotych kosztowała, czemu bardzo łatwo wierzyć można. Ostatni to raz podobno zabawiał się w ten sposób magnat litewski.

W rok później, pod jesień 1790, książę Panie Kochanku, zaniewidziawszy na oba oczy, rozchorował się na dobre i niepokój przedśmiertny go ogarnął. Mówił, że chce jechać do Najświętszej Panny do Leśnej, że tam powietrze zdrowsze, to znowu, że w Białej zostawił sepecik, (kuferek) z papierami ważnemi, które sam odebrać musi. Ale bajki to były, jeno, że w tym niepokoju nudził się wszędzie. Wreszcie kazał ruszyć przodem stanowniczemu z kuchnią i dworowi swemu wraz z doktorem Finke drogą ku Sławatyczom.

Na noclegach w gorączce majaczył, przypominając

sobie młodość, podróże po obczyźnie i niebezpieczeństwa w boju, huknął nieraz przez sen:

— Wiara do mnie! a wal go! a bij! a tłucz!...

To znów nieboszczyków, swoich przyjaciół, wywoływał i różne imiona kobiece, z czasów księcia miecznika. Sumienie poczciwe księcia Karola nie dało mu też zapomnieć o grzechu młodości, który go nieustannie trapił. Chcemy tu mówić o owej Felisi Wojzbunównie, o której wieści chodziły, że do jakiegoś klasztoru wstąpiła.

Dowlókłszy się wśród deszczu i błota do Sławatycz, majątku swego nad Bugiem, zanocował we dworze na ekonomii. Nie wierząc w doktorów swoich nadwornych, mówił, nim przyszedł Finke:

— Osioł, panie kochanku, słowa nawet po polsku nie umie, jakże on polską chorobę leczyć może?

Gdy doktor Finke nadszedł, i puls mu pomacał, zapytał:

— Możeby książę limonady się napił?

— Kiedy ty do niej saletrę sypiesz — oburzył się wojewoda.— To rzecz, panie kochanku, niebezpieczna. Mnie gorączka spaliła na węgiel, do węgla saletry dodawszy, proch będzie. Od lada świecy, panie kochanku, może być wybuch, i Radziwiłł w górę wyleci. Jeszcze tego nie bywało.

Zadziwił się Finke, a Glinka, dworzanin, czuwający dnia tego przy księciu, ucieszył się, że książę po staremu począł dowcipy prawić, ale doktorowi twarz spochmurniała. Podał limonadę.

— Limonada bez saletry, mości książę!

— No, to daj, aby się odczepić.

Napił się dość chciwie i oddając szklankę, rzekł:

— Jednakże, Glinka, świecę ode mnie trzymaj z daleka. Finke bez saletry nie stąpi, musi jej namieszać.

Doktor odszedł na kilka kroków i rzekł:

— Waszej książęcej mości po fatygującej podróży

9*

należałby się wczesny sen; przed północą sen najposilniejszy.

— Słyszałem — rzekł książę. — Idźże się nim posilaj, a mnie się nie chce. Wy się tego od kur nauczyliście, a co kura, to nie człowiek. Dobranoc ci!...

Gdy Finke wyszedł, książę zapowiedział, że będzie długo rozmawiał z Glinką, do którego zwrócił swe niewidome oczy, mimo to zamilkł natychmiast, sparł się na drugiej ręce i mruczał coś niewyraźnie. Po ćwierci godziny koguty, nie wiadomo czemu, zdala gdzieś spłoszone, bez pory piać zaczęły na trwogę.

— Hę? cóż to takiego jest? — Kury już pieją? — zawołał przebudzony książę. Zobacz no, Glinka na godzinę, co im się znowu przyśniło? Powiedz jutro Strzałkowskiej, żeby tych buntowników w pień wycięła. Przeciwko prawu Bożemu pieją przed północą!... A wara, panie kochanku! piać przed terminem — Glinka! nie śpisz? — dorzucił.

— Nie, mości książę, nie śpię.

— To ci się chwali. A świece gdzie, panie kochanku?

— Za parawanem, mości książę.

— Poucierajże im nosy, bo pewnie na nich grzyby urosły. — Tylko nie palcami.

Rozśmiał się Glinka i rzekł, idąc za parawanik:

— Są przecież szczypce, mości książę, i to nawet srebrne.

— A cóż ty myślałeś, że u Radziwiłła żelazne być mają, albo mosiężne? Jeszcze na szczypce nas stało, choć wyssali nas dużo. Ale póty szczypców, póki mnie... oni to wszystko przetopią i potopią.

Począł się w piersi bić i wzdychać ciężko. Miał oddech stłumiony i przyspieszony i jakby jęk w piersi wstrzymywał. Potem w gorączce miał widzenie przodków swoich, i przemawiał do nich głośno.

Strachem przejęty Glinka zbliżył się i kaszląc, a nogami szastając, zapewniał, że nikogo tu nie ma.

Rozgniewany książę ręką rzucił, jakby odpychał, i głośno zawołał do Glinki:

— Milczeć, panie kochanku... Ślepy chyba jesteś... Pokłoń im się...

W głosie jakby łzy czuć było, począł się bić w piersi, mówiąc:

— Moja wina! moja wina! Choć Radziwiłł, alem człowiek i grzeszny. Dostojni przodkowie moi!... Prawda!... ślepy byłem... alem drogi prawej szukał, a ludzie niepoczciwi wskazywali mi ją bałamutnie. Zbawienia kraju pragnąłem, — któż mógł widzieć z kim ono i gdzie było?

— Jęknął boleśnie i mówił dalej:

— Radomska konfederacya... tak, ślepym był... prawda... ale co mnie barska kosztowała!... com ja winien, że król...

Tu zamilkł, a po chwili przyłożył rękę drżącą do czoła i patrząc w przestrzeń swemi ciemnemi oczyma, mówił, że widzi Wołodkowicza w lisiej kurtce, poczem: czekaj, kochanie! już niedługo — dodał.

Opadła mu głowa po tym wysiłku. a Glinka słuchając drżał. Wtem jak krzyknie. — Glinka! śpisz? — aż się dworzanie w przyległej komnacie obudzili i poczęli wstawać. Glinka zapewniał, że nie śpi. Pytał go książę, czy ich widział, i czy ją widział? Dworzanin zaprzeczył.

— Tak! dla ciebie ich niema. ale dla mnie są; tyś ich oblicza oglądać nie godzien... A ona, taka piękna, jak była, taka dumna i nieubłagana! Nie przebaczyła mi, panie kochanku... a dusza ma nie wyjdzie z ciała, aż ona mnie nie rozgrzeszy!

Począł wzdychać. Zdawało się, że łzy mu biegły po twarzy. Glinka podał mu limonadę; odepchnął ją, mówiąc, że trucizna.

Glinka posłuszny, cofnął się. Książę, oparty na ręku z oczyma zamkniętemi, spoczywał, ciężko oddycha-

jąc. Wtem znowu zamruczał, cicho mówił do siebie, lecz powoli coraz dobitniej przemawiał:

— Znowuście przyszli!... Skruchy żądacie!... Winienem, winienem, pradziadowie i dziadowie, pobożny biskupie jałmużniku, i ty, Jerzy, kardynale, świątobliwy panie, ty książę kanclerzu i wy wszyscy, coście mię na świecie poprzedzili, spowiadam się przed wami!... Życie było grzeszne, alem się, panie kochanku, urodził pod słotą... po błocie iść, a nie zwalać się, to chyba anielska rzecz; jam skrzydeł nie miał i brnąłem po kostki. Moja wina! Miecznik najwięcej nagrzeszył, a wojewoda długo i ciężko za niego pokutował... Zapłaciłem za wszystko z nawiązką: groszem, krwią, łzami, tułactwem, biedą, panie kochanku. Wszak po barskiej dosyćżem na smutne czasy patrzał, gdy nas rozćwiartowano, a tego mi nie liczycie?... Wrogów do piersi przycisnąłem! Co roku potem szły klęski i upokorzenia. W porę oślepłem, aby nie patrzeć na resztę, panie kochanku, — radbym jeszcze ogłuchnąć, aby o nieszczęściach narodu nie słyszeć.

Zakrzył oczy i płakać zaczął po cichu. Znowu z żałością mówił o sławnych swych przodkach i po łacinie słowa modlitwy szeptał. — Wreszcie Bóg mu sen zesłał, począł spać i chrapać straszliwie. Potem porwał go śmiech przez sen jak za najlepszych czasów; przebudził się, lecz nie oprzytomniał, gorączka owszem coraz się zdawała silniejszą. Nagle zaszlochał, i jakby przestraszony krzyknął: „jest tam który? hola!...“

Odezwał się Glinka, Zażądał od niego wody, bo we wnętrznościach go paliło. Spytał o godzinę. Glinka, choć jeszcze nie było po północy, rzekł z rozmysłu:

— Pierwsze kury jeno słychać jak zapieją.

— A cóż to, dałeś im komenderówkę? — zawołał książę. — Skądże wiesz, że zapieją? Jak można wiedzieć, kiedy kur zapieje?

Wziął podaną mu szklankę limonady, pociągnął, ale później splunął.

— Gorżka jak żółć, tfu!

Znowu po chwili do siebie mruczał:

— Nepta zdechła bezpotomnie, jak ja!... Ksiądz Kantembryng na probostwie konopie moczy, Wołodkowicza robaki jedzą, a poczciwy Rejtan zginął, bo nie chciał przeżyć klęsk kraju. Wszyscy moi towarzysze i przyjaciele śpią w trumnach... a ja przez tę Felisię, która z rozgrzeszeniem nie przychodzi, czuwać jeszcze muszę za grzechy.

Głos księcia, brzmiący niekiedy donośnie, obudził wszystkich nieopodal śpiących. Skrzypnęły bokiem drzwi po cichu i wszedł nieubrany, w kożuszku tylko, Wiśniowski, szlachcic i towarzysz dobrej i złej doli księcia od młodych lat, stąd ulubieniec jego. Książę, jakby poczuł, że jest ktoś więcej, podniósł głowę.

— Wiśniowski? — zapytał.

— Sługa waszej książęcej mości, odpowiedział dworzanin.

— Ja ciebie zawsze węchem poznam, rzekł książę; koński pot czuć od waszeci, ale ja go lubię. Czemu ty nie śpisz?

— No, ja, to ja, ale dlaczego książę wojewoda nie idzie do łóżka?

— Powiem ci, Wiśniosiu, prawdę, ja się łóżka boję, umierać mi się nie chce.

— Ee!... co to o tem myśleć i mówić, rzekł spokojnie stary, książę będzie zdrów i wzrok u cudownego obrazu odzyszczesz, i zapolujemy jeszcze na niedźwiedzie.

— Dobryś!... Tak, tak, na św. Huberta, wołał wojewoda — i to w tym lasku, w którym się Absalon obwiesił. Ty stary, już w piątkę gonisz, a ja już i pchły nie upoluję...

W mowie jego czuć było gorączkę i nieprzytomność; za chwilę westchnął żałośnie i prawił znowu: Moje oczy po za grób widzą, choć ślepe... W Nieświeżu

puszczyki i sowy koncerty odprawiają dla wróbli... Hulaliśmy, Wiśniosiu, zapusty się skończyły...

Pod tę chwilę nadszedł siostrzeniec wojewody, półkownik Morawski. Zachęcał wujaszka, bv w tak późną noc na spoczynek już poszedł.

— Ale, panie kochanku, odparł książę głosem spokojnym, jakby zmienionym, żałośliwie prosząc, nie pędźcie mnie do łóżka, bo mnie do grobu wpędzicie. Niby to w krzesełku spać nie można? Ja, panie kochanku, na koniu w pochodzie sypiałem siedząc, jak dziś na najlepszem łóżku nie potrafię.

Odwrócił się. Wtem na folwarku pierwsze kury, na wyścigi, stare i młode piać zaczęłv.

— Otóż i kury pieją, odezwał się. Chwała Bogu i dnieć wkrótce zapewne będzie.

— Możeby Finke co na sen poradził? wtrącił Morawski.

— A tak — odezwał się książę — na sen, zwłaszcza wiekuisty... Ale ja mam jeszcze w Białej do czynienia; poczekajcie, co wam tak pilno?

Nie było sposobu chorego do snu i do łóżka zmusić. Nadszedł doktór i nie kazał go drażnić: Morawski, w rękę go pocałowawszy na dobranoc, poszedł. Książę teraz w krześle zasnął mocno, ale obudził się słabszym; puls bił zaledwie. Na obiad zjadł trochę rosołu i kawałek sarniej pieczeni.

Następnej nocy ułożono mały spisek na księcia. Lękał się on zasnąć w nocy, a po kurach, spodziewając się dnia, prędzej zasypiał. To też namówiono chłopca od kuchni, Mińczuka, który doskonale umiał naśladować pianie kogutów na różne tony. Na dany znak, zapiał teraz, jak stare kogucisko, a potem cienko raz drugi i trzeci, to znowu odmiennie. Książę podniósł głowę i nadstawił ucha.

— Ho, ho! zawołał, to czas leci. Już i pierwsze kury!...

Zdrzemnął się trochę. Zaledwie zachrapał, przebudził się nagle i wstrząsnął.

— Chwila się zbliża, godziny policzone, mówił, a w takich mizernych Sławatyczach umierać sensu niema. W Białej świec u Bernardynów dostanie, a Bazylianie też coś zarobią. — W drogę zaraz, panie kochanku, do Białej!

Glinka mu wystawiał, aby o tem nie myślał, że tak źle jeszcze nie jest i ledwie go uprosił, że natychmiast nie wyruszono, bo wszyscy śpią jeszcze.

— Gdybyś to był tak księciu miecznikowi odpowiedział, mówił już głosem powolnym książę, dopierobyś od niego oberwał, ale na pochyłe drzewo i kozy skaczą. — Na koń!... w drogę!... służba! panie kochanku, nagle zawołał. Ratujcie Radziwiłła!

Na ten głos, co żyło w izbach sąsiednich, pobudziło się. — Po chwili znów wołał:

— Zwijać obóz, konie gotować. Do Białej już czas, tak chcę, tak każę!

Doktór Finke radził nie drażnić księcia i Morawski ledwo zażegnał tę gorączkową burzę, obiecując, że rozkazy księcia wypełnione zostaną. Pomrukując jeszcze coraz niewyraźniej, wysilony, począł drzemać i zasnął.

Nazajutrz rozpoczęto nową podróż ze Sławatycz do Białej. Droga jesienna wciąż była niegodziwa. Gdy mu drugiego dnia pod wieczór powiedział Morawski, że już zamek widać, książę w powietrzu krzyż nakreślił i westchnął.

— Dalej już pono nigdzie mnie nie wywieziecie, panie kochanku, zamruczał.

Na widok powozów, ze wszystkich kościołów bialskich uderzono w dzwony, a na wstępie do miasta stało duchowieństwo, mieszczanie z burmistrzem i żydzi z rabinem dla powitania księcia. Gdy mu oznajmiono o tem, głową pokiwał, mówiąc: Do czego mi to? Posłał też zaraz, aby się dzwony uciszyły. Hajducy w krześle wnieśli księcia na górę zamku, urządzonego niemal po

królewsku, który mu po Nieświeżu był najmilszym. Książę po podróży i na twarzy i na siłach opadł bardzo. Czuli wszyscy, że dogorywa. Policzki mu nabrzękły, a skóra na nich pofałdowana, żółtością się pokryła.

Nic jeść już nie chciał. Milczał posępnie, gdy nagle zawołał:

— Hej! jest tam który?

— Glinka, mości książę.

— Dosyć, że z tej glinki, ugrząźlszy w niej, nie wylezę, panie kochanku, rzekł z cicha, a więc, mosanie Glinka, każ mi Napiórkiewicza zawołać.

Przyszedł za chwilę 90-letni starzec, od lat wielu stróż bialskiego zamku. Pochwaliwszy Pana Boga, rzekł:

— Czołem księciu wojewodzie!

Chory pogawędził z nim nieco i głosem spokojnym wypytywał go o starą, dębową trumnę po księciu wojewodzie i kazał też ją sobie przygotować. Staruszek odpowiadał mu ze łzami w oczach. — W nocy witał znowu książę przez sen swoich przodków, którzy czekają na niego.

Nazajutrz wieczorem gorzej mu się zrobiło; gorączkę miał, i albo milczał, lub mówił od rzeczy. Siedział przy nim doktór, felczer nadworny i pan Morawski. Podawano mu leczące napoje. Doktór poradził, aby przy chorym kobiety posadzić, że one lepiej umieją się obchodzić, a wytrzymalsze są i cierpliwsze.

Morawski posłał Glinkę do klasztoru Panien Miłosierdzia i prosił, aby przysłano choćby dwie lub trzy najzdolniejsze. Panna starsza wybrała sobie do pomocy siostrę Maryę, z Wilna tu przeniesioną, osobę już niemłodą, twarzy bardzo miłej, spokojnej, nawykłej, znać, do pocieszania i przynoszenia słodkich wyrazów.

Książę na łóżku leżąc, spał strasznie i jęczał. Zbliżyły się na palcach obie zakonnice. Opatrzywszy poduszki, zlekka je uniosły i poprawiły.

Książę mruczeć zaczął i odezwał się:

— Któż tam koło mnie majstruje? — Ażebyście też raz mi pokój dali, panie kochanku!... Kto tam znowu?

Panna starsza odezwała się z cicha, kim są i wymieniła imiona swoje, Justyny i pomocnicy — Maryi. Zapytana o nazwiska, wyrzekła swoje i tej drugiej, że się zwie Wojzbunówna.

— Jezus, Marya, Józef! — zawołał — Felicya Wojzbunówna! — Złożył ręce i dodał: Bóg widocznie łaskaw na mnie...

Zażądał podania mu ręki, pochwycił ją i podniósł do ust.

— Siostro Maryo! — począł mówić — przyszła ta godzina, o której proroczo mówiłaś w Rabce... o przebaczenie cię proszę.

Wojzbunówna, zakrywszy sobie łzą nabiegłe oczy, po chwili milczenia, powoli, jasnym i wyraźnym głosem rzekła:

— Niech ci tak Bóg przebaczy, jak ja przebaczam.

Odetchnął książę wojewoda; rękę, którą trzymał, do ust przycisnął znowu, prosił, by go obie siostry do ostatka nie opuszczały, a puszczając ją, westchnął.

— Dajcie mi wody, panie kochanku, odezwał się słabym głosem, a gdy go Wojzbunówna napoiła tyzanną, dodał: Pan Bóg cię zesłał, abym bez twego przebaczenia na świat lepszy nie poszedł.

W nocy w snach przerywanych miał znowu widzenia swych przodków i rozmawiał z nimi.

Nazajutrz z rana już z trwogą wszyscy przewidywali ostatnie chwile chorego. Pod wieczór zażądał spowiedzi i ostatniego Sakramentu. Przyszedł ks. kanonik od fary; spowiedź trwała pół godziny. Do komunii wstał, narzucono nań futro; kazał się podtrzymywać pod pachę niewidomy chory i ukląkł. — Z Panem Bogiem żartów niema, rzekł. Radziwiłł czy prosty chłop musi Mu czołem bić. Ja grzeszny człowiek jestem.

Prosił jeszcze obie siostry zakonne, aby do końca od niego do klasztoru nie odchodziły.

— Już tego niedługo będzie, rzekł do nich, uczyńcie to nie dla mnie, lecz dla Boga.

A potem, zwróciwszy się jeszcze do obecnych, mówił:

— Proszę, nie żałujcie i nie litujcie się nade mną; dosyćżem się nażył i użył świata; wiemci, że umrzeć w końcu potrzeba.

Całą noc miał gorączkę, to się budził, to zrywał, kołdry z siebie ściągał, to gadał, to śmiał się, wpadał w senność; oddech coraz miał cięższy. Wojzbunówna podała mu kubek z wodą; coraz mówił ciszej, wreszcie wyszeptał:

— Bywajcie zdrowi, panie kochanku!... — W ręce Twoje, Panie, oddaję duszę moją... Jezus, Marya, Józefł i zgasnął.

Za chwilę we wszystkich kościołach uderzono w dzwony żałobne. Powstał płacz na zamku i w mieście, a do łez ogólnych przyłączyła i swoje, blada jak posąg, Wojzbunówna — dziś Marya, niegdyś Felicya.

Te są ważniejsze koleje życia głośnego w swoim czasie i najmożniejszego pana w Litwie i w Polsce, spokrewnionego przez Jagiellonów z wielu rodzinami królewskiemi w Europie, a w kraju z najznakomitszymi rodami.

Cały majątek, bo książę Karol Radziwiłł umarł bezpotomnie, odziedziczył po nim synowiec, książę Dominik, syn przyrodniego brata Hieronima, podkomorzego litewskiego.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.